N. 25. WARSZAWA d. 12 (24) Czerwca 1871 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

Od Redakcji.

Do dawniejszego tytułu naszego pisma, dodając wyraz *i powieści*, nie zrobiliśmy tego w celu zmiany dążności Redakcji, ale zupełnie z innych pobudek. Powieść dzisiejsza tak znacznie ulepszona, obok obrazowania życia społecznego ze wszystkiemi jego wadami, błędami i przymiotami, mieści w sobie jeszcze: krytykę, moralność, filozofię, ekonomję polityczną i kwestje społeczne, które po szczególe wszystkich obchodząc, koniecznie domagają się rozwiązania. Nudna, ckliwa sentymentalność już z niéj dawno wyrzucona została, a jeżeli wyłącznie jest oddaną dziejom serca, to z nieporównanym talentem uczucia anatomizuje, rozjaśnia je psychicznym poglądem zajmuje ścisłością rozumowania i i zręcznością artystycznego obrobienia. Tak wzniosłego i pożytecznego celu powieści, szczególniéj przestrzegają nasi pierwszorzędni powieściopisarze; obcy nie wszyscy, ale są co nadają jéj ważniejsze znaczenie godni bezwarunkowo przyswojenia. Aby więc poznanie tego wielce pożytecznego działu literatury, będącego niejako odbiciem sumienia społecznego, o ile możności ułatwić Czytelniczkom Tygodnika Mód, od nowego roku pismo nasze w formacie zwiększyliśmy o połowę, i zostawiając półarkusza dla zwykłéj części literackiéj, arkusz cały poświęciliśmy powieści tak oryginalnéj jak tłomaczonéj. Uwydatnienie zatem téj dążności w tytule było koniecznem i dla tego do dawnéj nazwy: *Tygodnik Mód* dołożony został wyraz: *i powieści.*

Rozszerzenie to działu powieściowego chętne w pisarzach naszych znalazło poparcie i tak panie: Orzeszkowa, Marenné (Morzkowska), Wilkońska jak panowie: Kraszewski, Zacharjasiewicz, Lisicki, Łoziński i inni, przyrzekli stale zasilać Tygodnik nasz swemi pracami, tak aby obok tłomaczonéj zawsze się mieściła i oryginalna powieść jednego z pomiędzy autorek i autorów powyżéj wymienionych. Zaraz też po ukończeniu *Pamiętnika Wacławy* rozpoczniemy powieść p. Lisickiego, a późniéj pani Wilkońskiéj i p. Kraszewskiego.

PRZYCZYNKI
DO HISTORJI I LITERATURY
ORYGINALNE I TŁOMACZONE

PRZEZ

Michała Gliszczyńskiego.

III.

St-Cloud i jego okolice po oblężeniu.

Sine ira et studio.
Tacyt.

Straty poniesione przez Francję w ostatniéj wojnie z Prusami, oprócz ludzi i kontrybucji, mają być tak ogromne, że się prawie obrachować nie dadzą. Nie możemy nawet przybliżonego mieć o nich wyobrażenia, bo nam brakuje dokładnych francuzkich źródeł. Prześliczny ten kraj, niedawno jeszcze tak świetny, tak bogaty, tak piękny, pogrążony został przez własnego monarchę i jego klikę w odmęt straszliwych klęsk i poniżenia, z którego Bóg wie kiedy i jak się wydobędzie.

Zaledwie ucichły pruskie armaty, zawrzała jeszcze straszniejsza domowa wojna: nie czas więc myśleć o rachunkach. Trzeba wprzód uspokoić kraj, przyprowadzić naród do opamiętania się i rozwagi, i połączyć w jedno wszystkie siły na to, żeby się podźwignąć na nogi. Oby to jak najprędzéj nastąpiło!

Źródła znowu niemieckie są pisane wszystkie prawie z zarozumiałością zwycięzcy i z zawziętą nienawiścią germańską. Niepodobna prawie używać ich. Ze wszystkich korespondentów, sprawozdawców i autorów większych lub mniejszych dzieł, jeden tylko Arnold Willmer, pisze jako zacny i bezstronny świadek. Oczywiście i on ma kiedy niekiedy ostre i gorzkie słówko szczególniéj o ex-cesarzu, ale o całym narodzie odzywa się zawsze z szacunkiem i współczuciem. Jest on specyalnym korespondentem pisma: *Über Land und Meer*. Wojska i bitwy nie należą do niego, od tego jest inny korespondent, jego zaś zadaniem jest widzieć i spisywać społeczne fakta, których przy walce dwóch takich olbrzymów nie braknie zapewne. Dla tego to korespondencje jego mają tytuł: *Pokojowa wyprawa do Francji.* Jest to coś podobnego do owego dziennika Götego, który pan Lewestam umieścił w Kłosach.

Oto co pisze Arnold Willmer:

Versailles 27 Lutego 1871 r.

„Oblężnicze działa i przyrządy, które dotąd stały smutne i milczące w artyleryjskim parku w Villacoublay, przemówiły w końcu tak strasznemi, przerażającemi i niszczącemi słowami, jakoby to były trąby ostatecznego sądu. Dumny Babilon nad Sekwaną poddał się, a to mu zapewne musi najbardziéj dolegać, że Prusacy z własnych jego fortów, mogą go w gruzy zamienić, jeżeli się roztropnie nie podda nieprzepartéj sile konieczności.

Od dnia 29 Stycznia chorągiew pruska powiewała już na wszystkich prawie paryzkich fortach. Ciekawa to rzecz widzieć te forty! Specjaliści twierdzą, że były genialnie obmyślane i doskonale wykonane. Ale forty same obronić się nie mogą. Najważniejsze i najwięcéj zajmujące od południa i zachodu są Mont-Valerien i Issy, odegrały one ważną rolę w czasie oblężenia. Zwiedziłem je zaraz po kapitulacji, a wczoraj po trzeci raz.

Pierwszą wizytę oddałem Mont-Valerien, żołnierze przezwali go: *wuj mruk*, bo przez pięć miesięcy grzmiał bez ustanku i aż pod Wersal sięgał. Po

długich deszczach zajaśniał pogodny dzień, wszyscy Niemcy byli na nogach, co żyło a mogło ruszyło w odwiedziny do fortów. Poczciwy znajomy artylerzysta pożyczył mi 4 nóg końskich. Dobra Babetta za czasów swojéj młodości nosiła na swoim grzbiecie generała. Lata przychodziły i odchodziły, po generale jeździł na niéj pułkownik, potem major, potem podporucznik, aż ją nareszcie zaprzężono do jaszczyka. Dobra Babetta! Łagodna jak baranek, bo wytresowana w szkole i w życiu!..,

Jechałem przez park w St-Cloud. Wojna okropnie tu rąbała i mordowała! Oto leżą setki trupów najpiękniejszych i najstarszych drzew, podciętych przez pruskie siekiery, żeby otworzyć wolną lukę dla oblegających baterji.

Między temi trupami, w cichym zielonym gaju, znajduje się trzydzieści mogił, w których pogrzebano niemieckich kanonierów z baterji, poległych od francuzkich granatów i kilkudziesięciu szeregowych z 58 i 59 półku, którzy zginęli w czasie ostatniéj wycieczki z Paryża 19 Stycznia.

Przejechawszy przez to pobojowisko, dostałem się aleą wysadzoną odwiecznemi kasztanami nad brzeg Sekwany. Ztąd jak na dłoni widać piękny, okazały, świetny zbytkujący Paryż pozłocony słońcem, opasany srebrzystą wstęgą królewskiéj Sekwany i omglony z drugiéj strony białemi wysokościami Montmartre, z których kiedyś nasi dziadowie zwycięzko spoglądali na stolicę Francji jak my dziś od St: Cloud, Meudon, Clamart i ze zdobytych fortów.

Niedaleko od rzeki zalegają znaczną przestrzeń jakieś rumowiska. Tam to od siedemdziesięciu lat stała wysoka, wązka, czworokątna wieża, którą Francuzi uporczywie nazywali: *Latarnią Dyogenesa.* Konsul Bonaparte, kazał ją wystawić w r. 1800 na wzór pomnika Lysikratesa w Atenach. Paryżanie bardzo lubili Latarnię Dyogenesa, z rozkoszą wchodzili na nią pod czas lata, żeby się przypatrzeć swojemu ubóstwionemu miastu, — kopule Inwalidów, Łukowi tryumfalnemu, Elizejskim polom, wierzchołkom Panteonu, Notre-Dame, Ś. Magdaleny, Obserwatorjum i tylu innym wspaniałościom wspaniałego Paryża. Na początku Października kiedy forty paryzkie zaczęły strzelać na St. Cloud, oblegający wysadzili w powietrze Latarnię Dyogenesa, żeby nie służyła za cel paryzkim działom.

Brzegiem Sekwany skręciłem na prawo ku Sèvres; za małym pagórkiem natrafiłem na połamane, poszarpane i połupane drzewa, jakby tysiące piorunów uderzyło w ten lasek. Z wielkim trudem przedostawszy się przez ten labirynt, stanąłem na miejscu gdzie była ustawioną I baterja, która podobno najwięcéj ucierpiała i najwięcéj sobie sławy zdobyła. Musiała ona długą i zawziętą walkę wytrzymać z fortem Mont-Valerien i z baterją, już w okręgu Paryża leżącą Point du Jour. Chociaż zasłonięta doskonale drzewami i wałami, nie mogła się ochronić zupełnie przed ciężkiemi i celnemi granatami francuzkiéj artylerji. Zdemontowano jéj z Mont-Valerien aż sześć dział, chociaż tyle ich tylko miała, musiała się więc sześć razy uzupełniać z artyleryjskiego parku w Villacoublay. Teraz stała niema po za ostrzelonemi i porozrywanemi wałami i spoglądała na Paryż, którego bohaterski opór tyle młodych i walecznych kanonierów niemieckich pospychał z ziemi. Samotny szyldwach przechadzał się mierzonym krokiem po wale, trzymając broń ze spokojną obojętnością, bo Paryżanie zostali rozbrojeni.

A może też w takie smętne zamyślenie wprawiła go letnia willa, leżąca tam na tarasie, prawie wprost baterji I. Wszak to willa Breteuil, w któréj kiedyś Napoleon III przyjmował huczne owe szalono-wesołe panie, które tak lubił a o których Hejne powiada: „Zniszczyłaś mnie do gruntu." Oczywiście nie mógł ich urzędownie przyjmować w swoim ulubionym zamku St. Cloud, przynajmniéj kiedy cesarzowa w nim była. A tak! przed ostatniem jeszcze latem wesoło było w willi Breteuil; w jéj rozkosznych salonach, z widokiem na Paryż, z biało-niebieskiemi firankami i krytemi galerjami w ogrodzie. Dzisiaj francuzkie granaty przedziurawiły i poszarpały willę Breteuil — biało niebieskie firanki powiewają podarte przez rozbite okna i okiennice, albo służą Niemcom, kto wie do jakiego użytku. A owe szalono-wesołe panie, co tak piły szampańskie i tak hulaszcze śpiewały pieśni gdzie się podziały? Przepadły razem z Napoleonem, razem z cesarstwem Napoleonidów i z Napoleonidami wygnanemi na zawsze z Francji!.... Willa Breteuil a daléj piękny stuletni ulubieniec Napoleonidów St. Cloud leżą w ruinach, a nad temi ruinami zawisło na wieki wieków przekleństwo całego narodu francuzkiego.

A ja jechałem daléj środkiem przez same ruiny, obok samych ruin aż do fortu Mont-Valerien.

Zamek St. Cloud bez żadnego celu, został spalony przez działa z Mont-Valerien. Wszystko w nim zgorzało, sterczą tylko gołe czarne mury. I samo miasto, śliczne jak ogród, zostało także spalone w strategicznych rachubach jak powiadają Francuzi. I pruskie polowe granaty nie mało tam zniszczenia narobiły podczas ostatniéj wycieczki z Paryża 19 Stycznia, strzelając do Francuzów, którzy się tam oszańcowali. Smutno, strasznie smutno wygląda teraz zamek i miasteczko St. Cloud z pośrodka ruin i pogorzelisk!...

Jedźmy daléj! O pół mili od St. Cloud widzę jakąś białą malutką willę. Jakże slicznie, jak zachwycająco musiała wyglądać przeszłéj jeszcze wiosny, w pośród tych wysokich, rozłożystych kasztanów i włoskich topoli, a dziś już leży w ruinie! Między temi ruinami widzicie jakiegoś pięknego, jak obraz, starego mężczyznę z długiemi siwemi włosami i srebrzystą brodą, jak się czołga, uwija, a nawet podskakuje czasami a szuka resztek marmurowego antyka, przedstawiającego Ganymeda, od którego odłamaną rękę znalazł w zawalonym przedsionku. Starzec ten, bogaty miłośnik i znawca sztuk nazywa się Alfred Longennais; willa ta była jego Tuskulum i jego Muzeum, a posąg Ganymeda ozdobą i dumą jego zbioru, a pociechą starych lat. Teraz wszystkie te zbiory popalone, poniszczone, a z jego Ganymeda została tylko ręka, ale cudownie piękna ręka. Nie ma nic straszniejszego od wojny!

Daléj znowu w ogromnym jakby park ogrodzie prawie przy samym szańcu Montretout, stoją dwie wille, należące do jednego właściciela. Wiele mniéj ucierpiały od innych, bo je i Francuzi i Prusacy uszanowali. W mniejszéj z nich skomponował Gounod swoją Małgorzatę (Faust) a w większéj mieszkała matka jego żony. Gounod pisał z Londynu do Następcy Tronu pruskiego, prosząc go, aby ile będzie można oszczczędził jego posiadłości. Książę pruski zrobił to i na głównéj bramie kazał przybić plakatę, żeby żaden żołnierz nie ważył się wejść wewnątrz. Ale wycieczka z Paryża wycieczka 19 Stycznia o któréj tyle już razy wspominałem. Francuzi zdobyli szaniec Montretout, 400 gwardzistów z Bretanji pod dowództwem 18 oficerów zaparło się w willach i zrobiło z nich na prędce małą fortecę. Kiedy 47 półk pruski rzucił się na szańce Montretout, żeby go odebrać, zaraz z boku padł na niego grad kul bretońskich, który zabił 7 oficerów, 154 szeregowców. Prusacy szaniec zdobyli i musieli do willi formalny szturm przypuścić. Francuzi strzelali bez ustanku przez całą noc, aż do południa nazajutrz. Naprózno wzywano ich żeby się poddali. Kiedy nadciągnęła ciężka artylerja, dowódca oddziału Larochefoucauld poddał się z honorami wojskowemi. Oficerowie fakt ten nazwali: *Kapitulacją Gounoburga.* Owoż i tu nielitościwa ręka wojny, nie ominęła artystycznéj ustroni ulubionego we Francji i w Niemczech kompozytora.

Oto znowu w innéj stronie widać Buzanval, letni zamek Achilesa Murata, którego ojciec siedział na neapolitańskim tronie, a rozstrzelany został w mieście Pizzo. Zamek i park w czasie wycieczek 21 Października i 19 Stycznia został mocno zniszczony a Murat razem z Napoleonidami wygnany z Francji, co ich już raz przed 60 laty spotkało.

Przejechałem obok szańca Montretout — był to haniebny wał do 10 stóp wysoki, w wielu miejscach szeroko rozbity. O pół mili od niego, na wyniosłym pagórku, odbija się wyraźnie na niebieskim horyzoncie imponujący fort Mont-Valerien. Ze czcią zbliżałem się do niego bo jeszcze słyszałem jak huczały nad nami jego działa, bo widziałem jeszcze jak latały do nas jego olbrzymie granaty i ogniste kule, które nam najwięcéj szkody podczas oblężenia robiły. Serce się rozdziera patrząc teraz na niego taki smutny i opuszczony. W około niego winnice zniszczone, domy zburzone, straszne pustkowie!

I przeszłość fortu Mont-Valerien jest także zajmująca. W przeszłym wieku stał tu klasztor, do którego pobożni Paryżanie liczne pielgrzymki odprawiali. Cesarz Napoleon I nie bardzo lubił klasztory, to też z klasztoru na górze Mont-Valerien zrobił zakład do wychowania córek kawalerów Legji Honorowéj. Po upadku pierwszego cesarstwa pensja panien została znowu klasztorem. Aż wreszcie za rządów Ludwika Filipa na wniosek jego ministra p. Thiers, podług połączonego systematu Vauban-Carmontaigne, wystawiono dzisiejszy fort Mont-Valerien. Wznosi się on na trzech piętrowych tarasach, a każdy taras oddzielony grubym murem i głębokim rowem. Na samym szczycie rozpierają się dopiero baterje i różne zabudowania, jako to trzypiętrowe koszary z 30 kazamatami, w środku między niemi arsenał i ładny kolumnowy pawilon dla oficerów. Na górę idzie się drogą prowadzącą w ślimak. Wszędzie wierzchem, powozami, piechotą uwija się mnóstwo oficerów i żołnierzy. Naprzeciwko mnie ciągnęły długie szeregi wielkich francuzkich wozów, naładowanych małemi, czarnemi, oficerskiemi kuferkami i różnemi żołnierskiemi sprzętami. Wozy te najmowane były przez gwardzistów ruchomych i liniowców w czerwonych spodniach — a wszyscy młodzi, starzy, mieli zaczerniałe i bardzo smutne twarze. Przed bramą, nad którą czytamy napis: *Forteresse de Mont-Valerien,* stało dwóch francuzkich oficerów, którzy czuwali nad przewiezieniem prywatnéj własności. Pochmurno spoglądali na wesołych Niemców. Cześć walecznemu nieszczęściu! Ukłoniłem się im z pewną grzecznością, jak przystało dla szlachetnego zwycięzcy; odkłonili mi się tak samo. Przeszedłszy bramę ujrzałem pruską wartę i skierowałem się zaraz na wielki plac cytadeli. Tutaj jeszcze większy ruch, jeszcze więcéj rozmaitych mundurów niż na drodze. Król Wilhelm, Moltke, Roon, otoczeni oficerami zwiedzali dziś pierwszy raz Mont-Valerien. Chodzili w téj chwili po wałach i oglądali z wielkiem zajęciem, ogromne żelazne armaty. Poszedłem za cesarską świtą. Najdłużéj zatrzymaliśmy się przy owéj olbrzymiéj armacie *Valerie,* któréj paszcza 2 i pół stopy w przecięciu mająca zionęła na nas śmierć aż pod Trianon. Olbrzyma tego kazał król Wilhelm przewieść do Berlina, a resztę armat zagwoździono tak, że nam już nigdy nie będą szkodzić...

Mont-Valerien miał także kaplicę i cmentarz, na którym nie jedną widać świeżą mogiłę. Spoczywają tam ofiary tylu wycieczek z Mont-Valerien i swoi i pruscy, czy to polegli na placu, czy z ran i tyfusu

później pomarli. Niemieckie granaty nie zrobiły tu na górze wielkich spustoszeń i ledwie kilku zabiły Francuzów, bo nie przyśliśmy pod Paryż po to, żeby pojedyncze forty bombardować a tem mniej je brać, ale i to też prawda że jeżeli wszystkie forty na około Paryża równie są silne i gdyby były z taką odwagą opierały się i napadały jak Mont-Valerien, tobyśmy byli dawno już musieli odstąpić od oblężenia, lub potroić liczbę żołnierzy, roboty oblężnicze, koszta i wylaną krew. Oficerowie pruscy wyznają jednozgodnie, że MontValerien nie może być nigdy zdobyty szturmem.

Jaka przyszłość przygotowaną jest teraz dla tego nieszczęśliwego narodu? Nie ma tak potężnego rozumu, żeby ją mógł chociaż w przybliżeniu nakreślić.

URYWKI Z PODRÓŻY

PO STYRJI

PRZEZ

Tadeusza Jerzego Steckiego

w roku 1870 odbytéj.

(Dalszy ciąg).

Ze wszystkich budowli otaczających zamek, najpiękniejsze, najwięcéj charakteru mają jego bramy wjazdowe, od stóp góry t. j. od miasteczka w pewnéj odległości jedna od drugiéj aż do samego zamku rozciągnięte. Z dat, z nadpisów na nich umieszczonych, dałaby się niemal ułożyć cała historja zamku i postępy coraz to rozszerzanych jego redut i fortyfikacji. Pierwsze pięć bram poczynając od dołu: *Marktthor*, *Cillithor*, *Annathor*, *Lichteneggerthor* i *Gartenthor*, wznieśli Purgstallowie między 1658 i 1690 rokiem, szósta oddzielona od poprzednich zwodzonym mostem, rzuconym na fossie dziesięć sążni głęboko w skale wykutéj, Wenzelsthor (Bramą Wacława) nazwana, fundatorką jéj była Gallerowa. Zdobi ją mnóstwo rzeźb, sztukaterji i nadpisów, z tych następujący najcharakterystyczniejszy:

> Was ich in 16 Jahren hier hab lassen paven (bauen)
> Das ist wol zu sehen und anzuschaven
> Kein heller mich nicht veven thuet (renen thut)
> Ich meins dem Vaterland zu guet (gut)
> Anno Dom. 1653.

Po bokach téj bramy stoją posągi Marsa i Bellony—w górze zaś nad sklepieniem między medaljonami cesarza Fryderyka III i jego żony, wyrzeźbione herby Wechslerów dawnych dziedziców tutejszych, przez dwa lwy podtrzymywane — nad niemi anioł z rozpostartemi skrzydłami. Pod tą bramą na prawo pomieszczenie dla stajni, na lewo zbrojownia — za nią o kilka kroków siódma już ostatnia pod zamkiem brama *Hausthor* także z herbami Wechslerów. Każda z tych bram z obu stron przypiera do skały, na każdéj nad sklepieniem pobudowane izby dla załogi zamkowéj, a między okami gęste strzelnice — nad ostatnią tylko mieści się zamkowa kaplica, w któréj dochował się starożytny rzeźbiony ołtarz z 1428 r. fundacji Reichenburgów. Z kaplicy powiódł nas stary nasz przewodnik do zbrojowni, którą ze smutkiem zwiedzającym otwiera, bo ją Lichtenstejnowie zupełnie ogołocili. Na podłodze kupa starego żelaziwa, odłamki pancerzy, połamane rękawice, kilka starożytnych siodeł z ozdób obdartych — ściany okryte nadpisami, między nimi wiele polskich — oto wszystko co jeszcze w téj izbie pozostało. W zamku pustka jak i w zbrojowni, a jednak nawet resztki ocalałych tu zabytków, zasługują jeszcze na uwagę. A najprzód wielka sala *Białą* przezwana — w niéj sufit prześliczny, okryty bogatą sztukaterją białą ze złotem, na nim rozsiane medaljony z wybornemi freskami, przeplatane nadpisami, charakteryzującemi dobrze swą epokę, naprzykład: „A 1658 Baven ist ein schöner Lust, was es mich kost, ist mir bewusst.“ Ściany w téj sali zawieszone od góry do dołu, staremi portretami, dawnych panów miejscowych, nędznego wprawdzie pędzla, ale treścią zajmujących. Jest tu cały szereg Ursenbecków, Gallerowa, córka jéj Regina z mężem swym Purgstallem, syn ich jezuita Adalbert i inni. Zabłąkały się do téj familijnéj galerji i portrety panujących, dwóch cesarzów, Leopold I i Karol VI, także Karol V hiszpański.

W bocznéj sali *Rittersaal* przez Stadla z wielkim przepychem urządzonéj, ocalał rzeźbiony dębowy sufit, takież ramy drzwi do sufitu sięgające i okna — tak cudownéj snycerskiéj roboty, jak tylko we Włoszech podobne widywać nam zdarzało się — zamek i współczesne w tych drzwiach misternéj ślusarskiéj roboty, każdéj dzisiejszéj wystawy byłyby ozdobą. Zresztą sprzętów żadnych i tu już nie masz, na środku tylko prosty stół dębowy wypłowiałą makatą pokryty, na nim księga do wpisywania nazwisk podróżnych, dokoła kilka olbrzymich krzeseł skórą obitych, które zapewne lepsze jeszcze czasy tego zamku pamiętają, kto wie może nawet były świadkami owych sławnych uczt i libacji, jakie się tu ongi odbywały a o których głosi następujący nadpis na szybie jednego okna dochowany: „*Anno 1635 den 6 April hat ssich dass ssaufn anghebt und alc Tag ein Rausch geben bis Auff den 26 detto.*“ Lepiéj więc i w naszéj okrzyczanéj Polsce pijać nie umiano.

Z kolei przebiegaliśmy długi rząd innych pokoi, pustych, odartych ze sprzętów i ozdób, zaledwie już na wspomnienie zasługujących. W tak zwanym pokoju tureckim ocalał piękny komin z szarego piaskowcu z półksiężycem i datą anno 1588. W pokoju *Rzymskim* freski na suficie z historji tego narodu. W sali obrazów, z resztek dawnéj galerji, kilka olejnych malowideł: Bitwa Amazonek, Porwanie Prozerpiny, Wiek złoty, Diana na łowach i w kąpieli, mniéj niż mierne płótna. W pokoju *Książęcym* pustym jak i inne, świeci tylko olbrzymie łoże pod baldachimem w pęki kolorowych piór ubranym, na którem niegdyś piękna Gallerowa sypiać miała, dziś brudne i obdarte, najbardziéj nawet spiącego odstręczyć zdolne—piękniejszy od łoża dochował się tu sufit z drewnianéj mozajki ułożony. Z téj strasznéj dzisiaj sypialni, wchodzimy do malutkiego narożnego pokoju: *Sybillen*, także *Hexenzimmer* przezwanego, od 12 wizerunków Sybil na ścianach rozwieszonych, noszącego swą nazwę. Jest tu jednak i 13-ty obraz, portret młodéj pięknéj kobiety, otoczonéj kwiatami, owéj sławnéj Katarzyny Paldauff, spalonéj w Feldbach, jak chce niby podanie, za tworzenie sztuką czarnoksiężką naturalnych kwiatów. W aktach jednak ówczesnéj komissji, obwinioną była o branie udziału w nocnych orgjach księży i kobiet, które się tu w okolicy odbywały i na których gusła i czary jakie tworzono, pod prezydencją jednego z członków tych dziwacznych posiedzień *Căsperl* w protokółach nazywanego, który miał uosabiać złego ducha. Katarzyna Paldauff była opiekunką, czy ochmistrzynią (pflegerinn) tutejszéj dziedziczki Gallerowéj w dziecinnych jéj latach, a musiano ją miłować w Riegersburgu, kiedy tyle tu jéj portretów pozostało, kiedy wśród okolicznego ludu pamięć jéj dotąd jeszcze przechowała się męczeńską aureolą otoczona. Tracono ją w późnym już wieku, w lat trzy po śmierci Gallerowéj. Ciekawy to portret i sama osobistość, a nadewszystko dzieje téj komissji i jéj akta jako materjał historyczny z ostatnich lat XVII stulecia. Z okien tego pokoju czarownic—widok rzeczywiście czarujący, na pogranicze Węgier na liczne zamki okoliczne i na zawsze cudnie zarysowany łańcuch Alpejski. Rozmarzeni wyszliśmy z tamtąd, obejrzeć obszerne lochy podzamkowe, niegdyś więzienia nieodstępne każdego z zamków tutejszych attrybuta. Pokazywano nam także dwie wspaniałe cysterny w dziedzińcu, sławne, bo w opoce i na tak wielkiéj wysokości, wyborną wodę dostarczające. Na jednéj z nich ozdobnéj w żelazne ornamenta, hełmy, dzidy i miecze, ukryta maleńka podkowa, któréj trudno wśród innych ozdób dopatrzeć: tę łamigłówkę trzeba było naprzód odszukać, aby mieć prawo wodę zaczerpnąć.

U stóp zamkowéj góry zbudowany kościół, w którym prócz kilku pięknych obrazów, ciekawe są mianowicie stare nagrobki Purgstallów i jeszcze starsze Ursenbecków z pierwszych lat XVII wieku. Anglik Hall porównywa je z pięknemi pomnikami Westminsteru. Ile w tem prawdy powiedzieć nie możemy — ale to pewne, że opuszczając Riegersburg—to prawdziwe staro germańskie Colosseum, unosi się ztąd jakieś niewysłowione wrażenie duchowego nastroju, smutne, poważne, którego długo zapomnieć niepodobna.

(d. c. n.)

ZACISZE

POWIEŚĆ S. J. TURGENIEWA

tłomaczona z rosyjskiego.

(Dalszy ciąg.)

— Zmiłuj się Jegorze Kapitoniczu, w czemże twoje manjery niedobre?

— No i ja sam się pytam, lecz widać, że jéj już trudno dogodzić. Wczoraj naprzykład, mówię przy stole: Matreno Matfiejewno, i Jegor Kapitonicz nadał głosowi swemu wyraz największego przymilenia. Matreno Matfiejewno, coś to Aleksiej źle około koni chodzi, nie umie jeździć, powiadam; karego ogiera, bestyja, zupełnie zmizerował. Uch! Matrena Matfiejewna jak się nie uniesie, jak nie zacznie mię łajać, ty, powiada, nie umiesz się przyzwoicie wyrażać w damskiem towarzystwie; panienki także zaraz pozrywały się od stołu, i na drugi dzień panie z Birulewa, krewne mojéj żony, wszystko już wiedziały. A w czemże ja się źle wyraziłem? osądźcie sami. I co tylko powiem czasem nieostrożnie, ale komuż się nie przytrafi zwłaszcza w domu, to zaraz panie z Birulewa nazajutrz o wszystkiem wiedzieć muszą. Słowem, nie wiesz co masz z sobą robić. Niekiedy, siedzę sobie i dumam po swojemu, a wiecie zapewne że mam ciężki oddech, Matrena Matfiejewna znowu mię łaje; nie sap, powiada, któż to teraz tak straszliwie sapie? Czego ty łajesz, powiadam Matrenie Matfiejewnie, powinnaś żałować mię, a ty się gniewasz. Od tego czasu już więcéj w domu nie zamyślam się, siedzę tylko i w ziemię patrzę, jak mi Bóg miły. Albo w tych dniach oto, kładliśmy się spać, Matreno Matfiejewno, odzywam się, co to ty mateczko kozaczka twego tak rozpieściłaś, a to on prawdziwy prosiak, żeby też choć raz w niedzielę się umył. No cóż? zdaje się przecież że wyraziłem się dosyć delikatnie, a jednak i to się niepodobało; Matrena Matfiejewna znowu zaczęła łajać: nie umiesz powiada, zachować się w damskiem towarzystwie, a na drugi dzień panie z Birulewa wszystko wiedziały. Gdzie już tam mnie o wyjazdach myśleć, szanowny Michale Mikołajewiczu?

— To mnie dziwi bardzo, co nam pan powiadasz,

odrzekł Ipatof, nigdy nie spodziewałem się tego po Matrenie Matfiejewnie; zdaje się ona....

— Najzacniejsza kobieta, przerwał Jegor Kapitonicz, wzorowa, można powiedzieć, żona i matka, tylko już pod względem manjer nadzwyczaj surowa. We wszystkiem powiada, potrzebny ansambl, a ja niby to nie mam go posiadać. Po francuzku, pan wiesz, nie mówię, trochę tak tylko rozumiem. Co to jednak za ansambl, którego mi brak?

Ipatof sam nie bardzo mocny w francuzczyznie ruszył tylko ramionami.

— A cóż dzieci pańskie, to jest synowie? zapytał po chwili Jegora Kapitonicza.

— Z synów jestem zadowolony. Lucjan w służbie rządowéj, dobrze się sprawuje, naczelnicy go chwalą. Dzielny chłopak z niego. Michaś już nie to, jakiś filantrop z niego się zrobił.

— Co za filantrop?

— Bóg go tam wie, z nikim nie rozmawia, zdziczał. Matrena Matfiejewna bardzo go strofuje. Co to, powiada, z ojca przykład bierzesz? Ty go szanuj, lecz w manjerach naśladuj matkę. Ale to wszystko przejdzie pomału.

Włodzimierz Siergieicz prosił Ipatowa, żeby go poznajomił z Jegorem Kapitoniczem i zaraz potem pomiędzy niemi zawiązała się rozmowa. Marja nie brała w niéj udziału, przy niéj usiadł Jan Ilicz, lecz i ten powiedział jéj tylko słów parę, a zresztą jak mur był milczący. Obstąpiły go dziewczęta i zaczęły coś opowiadać półgłosem. Po niejakim czasie weszła klucznica, chuda stara kobieta z zawiązaną ciemną chustką na głowie i oznajmiła że obiad już gotów. Wszyscy wyszli do stołowego pokoju.

Obiad trwał dosyć długo. Ipatof trzymał dobrego kucharza, wina sprowadzał niezłe, chociaż nie z Moskwy lecz z miasta gubernjalnego, żył jak to mówią porządnie. Majątek jego obejmował dusz nie więcéj jak 300, lecz nie miał długów i gospodarował dobrze. Przy stole mówił najwięcéj sam gospodarz, Jegor Kapitonicz pomagał mu, lecz zarazem myślał i o sobie, jadł i pił za dwóch, Marja ciągle milczała niekiedy tylko odpowiadając lekkim uśmiechem na szepty dziewczynek, siedzących po obu jéj stronach, które widocznie bardzo ją lubiły. Włodzimierz Siergieicz kilka razy probował wszcząć z nią rozmowę, lecz to mu jakoś się nieudawało. Zgodna dusza Bodrjakow nawet jadł leniwie i powoli. Po obiedzie wszyscy wyszli na taras, gdzie podano kawę. Pogoda była cudowna: przyjemny zapach lip, które były właśnie w pełni kwiatu, napływał z ogrodu, upał letni, ochłodzony gęstą zielenią drzew i sąsiedztwem obszernego stawu, zamienił się w łagodne ciepło. W tem, po za topolami grobli dał się słyszeć tentent koni, i po chwili ukazała się na gniadym koniu kobieta w długiéj amazonce, w szarym okrągłym kapeluszu, a za nią kozaczek na białym niewielkim podjezdku.

— A! zawołał Ipatof: Nadzieja Aleksiejewna jedzie, otóż przyjemna niespodzianka.

— Czy sama? zapytała Marja stojąca do téj chwili nieruchoma przy drzwiach.

— Sama... widać Piotra Aleksieicza coś zatrzymało.

Marja spojrzała posępnie, rumieniec oblał jéj lica i odwróciła się.

Tymczasem przybywająca dama przez furtkę wjechała do ogrodu, w galopie podsunęła się pod taras i zeskoczyła lekko na ziemię, nie czekając na swego kozaczka, ani na Ipatowa, który pospieszył na jéj przyjęcie. Zręcznie ująwszy dół swéj amazonki, wbiegła po schodkach i stanąwszy na tarasie zawołała wesoło:

— Otóż i jestem!

— Prosimy, prosimy! zawołał Ipatof: — otóż niespodziewana przyjemność. Pozwól pani ucałować rączkę...

— I owszem, tylko zdejm pan sam rękawiczkę, bo ja nie mogę. I podawszy mu rękę powitała Marję skinieniem głowy: Maniu wyobraź sobie brat nie będzie dzisiaj, rzekła z lekkiem westchnieniem.

— Ja to sama już widzę że go nie ma, odpowiedziała półgłosem Marja.

— Kazał ci powiedzieć, że zajęty. Nie gniewaj się. Witajcie panowie Jegorze Kapitoniczu, Janie Iliczu — jak się macie dzieci... Wańka, rzekła dama, zwracając się do swego kozaczka, każ dobrze oprowadzić gniadosza; rozumiesz... Proszę cię Maniu daj mi szpilkę dla przypięcia amazonki... Panie Ipatof chodź no pan tutaj.

Ipatof zbliżył się.

— Kto to jest ta nieznajoma mi osoba? spytała go dosyć głośno.

— To nasz sąsiad, Astachof Włodzimierz Siergieicz, co to jego Sasowo, pani wiesz. Jeżeli sobie życzysz to go jéj przedstawię.

— Dobrze... trochę późniéj. Ale jakaż piękna pogoda, mówiła daléj. Powiedz mi Jegorze Kapitoniczu, czy Matrena Matfiejewna nawet w tak piękną pogodę ciągle fuka?..

— Ona nigdy nie fuka, pani, ona tylko surowa gdy idzie o manjery...

— A co robią panie z Birulewa? wszak prawda, że zaraz na drugi dzień o wszystkiem wiedzą...

I roześmiała się dźwięcznym srebrzystym śmiechem.

— Pani tylko ciągle śmiejesz się, rzekł Jegor Kapitonicz, zresztą kiedyż się śmiać jeżeli nie w jéj latach.

— Szanowny Jegorze Kapitoniczu nie gniewaj się! Ale ja zmęczona, pozwólcie że usiądę. To mówiąc Nadzieja Aleksiejewna rzuciła się na fotel i swawolnie nasunęła kapelusz na same oczy.

Ipatof przyprowadził przed nią Włodzimierza Siergieicza.

— Pozwól pani przedstawić sobie pana Astachowa sąsiada naszego, o którym pewnie słyszałaś.

Włodzimierz Siergieicz ukłonił się, a Nadzieja Aleksiejewna spojrzała na niego z pod daszka swego okrągłego kapelusza.

— Nadzieja Aleksiejewna Wieretjewa, nasza sąsiadka, mówił daléj Ipatof, zwracając się do Astachowa. Mieszka w tych stronach z bratem swoim Piotrem Aleksiejewiczem, dymissjonowanym porucznikiem gwardji. Wielka przyjaciołka mojéj krewnéj i w ogólności na dom nasz łaskawa.

— Otóż i cała historja, przemówiła z uśmiechem Nadzieja Aleksiejewna, spoglądając jak pierwéj na Astachowa z pod kapelusza.

Włodzimierz Astachof tymczasem pomyślał sobie w duchu, i ta także wcale niczego. Bo i rzeczywiście, Nadzieja Aleksiejewna była bardzo miłą osobą. Szczupła, kształtna, zdawała się daleko młodszą niż była w rzeczywistości, chociaż minęło już jéj lat dwadzieścia siedm. Miała twarz okrągłą, główkę małą, włosy jasne, gęste, delikatne, śmiało zadarty nosek i wesołe filuterne trochę oczki, zdradzające wielkie usposobienie do żartowania z bliźnich. Rysy twarzy jéj nadzwyczaj ożywione i ruchliwe, niekiedy stawały się nawet śmieszne; długie wyrażały wesołość. Niekiedy tylko, najczęściéj niespodziewanie, cień zamyślenia spadł na twarz jéj, wtenczas ta stawała się łagodną i dobroduszną, lecz długo oddawać się zamyśleniu nie mogła. Z łatwością chwytała śmieszne strony ludzi i wybornie rysowała karykatury. Od dzieciństwa wszyscy ją pieścili, znać to by to po niéj; albowiem ludzie rozpieszczeni w dzieciństwie zachowują pewną odrębną cechę aż do końca życia.

Brat ją kochał, chociaż zapewniał, że kole nie jak pszczoła, ale jak osa, bo pszczoła ukłuwszy żądłem umiera, a osie to nic nie szkodzi. Porównanie najbardziéj ją gniewało.

— A pan na długo tu przyjechał? zapytała Astachowa, opuściwszy oczy i kręcąc w ręku szpicrutą.

— Jutro mam zamiar wyjechać.

— A dokąd?

— Do domu.

— Do domu? a po co? jeżeli wolno spytać.

— Jakto po co? przecież w domu czekają na mnie interesa niecierpiące zwłoki.

Nadzieja Aleksiejewna spojrzała na niego z łumiona.

— Czyż to pan taki.... akuratny człowiek?

— Staram się nim być, odrzekł Astachof. W teraźniejszych prozaicznych czasach, każdy porządny człowiek powinien być praktycznym i akuratnym.

— Bardzo słuszna uwaga, odezwał się Ipatof wszak prawda Janie Iliczu?

Jan Ilicz spojrzał na Ipatowa, a Jegor Kapitonicz potwierdził. Tak jest, tak rzeczywiście.

— A szkoda jednak, rzekła Nadzieja Aleksiejewna: nam właśnie brak pierwszego kochanka. Pan grywałeś zapewne w amatorskich teatrach?

— Na tem polu nie probowałem nigdy sił swoich.

— Pomimo tego pewną jestem, że byś pan grał dobrze. Masz postać taką.... poważną, co niezbędnem jest dla teraźniejszych pierwszych kochanków. My z bratem zamierzamy urządzić teatr, i nie tylko same komedje grać będziemy. lecz wszystko: dramy balety, nawet tragedje. Czyż Mania nie wygląda na Kleopatrę lub Fedrę? Spojrzyj no pan na nią.

Astachof obrócił się... Marja z założonemi na piersiach rękoma, oparłszy głowę o drzwi stała zadumana..... W téj chwili jéj kształtne rysy przypominały rzeczywiście kontury dawnych rzeźb. Ostatnich słów Nadziei Aleksiejewny nie słyszała, lecz spostrzegłszy nagle zwrok wszystkich zwrócony na siebie, domyśliła się o co rzecz idzie i zarumieniwszy się chciała oddalić się do bawialnego pokoju, lecz Nadzieja Aleksiejewna zręcznie schwyciła ją za rękę i z wabnością kotki przyciągnąwszy do siebie, pocałowała tę prawie męzką rękę.

— Cóż za pustota moja Nadziu! zawołała.

— Czyż nie prawdę o tobie powiedziałam? odwołuję się do wszystkich... No dosyć, dosyć, nie mówmy już o tem.

(d. c. n.)

KORESPONDENCJA.

Pani Teofili C. W biórze adresowym nie można się dowiedzieć o mieszkaniu pana Tomasza B.

Pani Julji Z. Serwis do herbaty z francuzkiéj porcelany na osób 12 kosztuje od rs. 25 do 36, z berlińskiéj porcelany rs. 15.

Pani Emilji T. Na miarę najlepiéj przysłać używaną rękawiczkę.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami i ćwiartka z opisami.

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066*k*). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIEŃ MŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

Gdy tak pogrążyłam się w zamyśleniu, Władysław patrzył na mnie uważnie i przenikliwie, a po chwili wyrzekł zwolna:

— A gdyby i tak było jak pani myślisz? Gdyby zawiódł mię mój wewnętrzny drogoskaz, i gdybym kiedy miał ujrzeć się bezsilnym przeciwko temu co mi niepodoba się i zawadza, czyliż w przewidywaniu tych przypadłości, mam dziś zmusić do abdykacji rozum mój i moją wolę? kazać im zmilknąć przed tym chóralnym wrzaskiem, co się nazywa głosem publicznym, i wbrew prawdzie mego serca i mego sumienia, zobojętnieć dla tego co kocham, potępić to co uwielbiam, odwrócić się od tego co wzywa mojéj pomocnéj ręki i mego współczującego serca, pochyliwszy posłuszne czoło pobiedz za wszystkiemi baranami tego świata, becząc jak inne beczą barany? Nie pani, cokolwiek bądź spotkaćby mię mogło w przyszłości, dziś nie jestem dzieckiem zdolnem poddawać plecy łaskawym chłostom matki społeczności, i w każdéj chwili gotów jestem powiedzieć do niéj: kochana i wielce łaskawa matuniu, dobrodziejko! jestem pełnoletnim i mam wszelkie prawo rozporządzać się majątkiem otrzymanym z łaski natury i twojéj, to jest: sumieniem, rozumem i uczuciami memi. Co do ostatnich pozwól, aby one kierowały się według pierwszych, a nie według twojéj despotycznéj i wszechpotężnéj jak sądzisz woli, i zostaw mię w pokoju dopóki ci tylko szkodzić nie zacznę.

— A jeżeli, przerwałam, matka społeczność odpowie na to, chłoszczę cię bo przekraczając moje ustawy, nadwerężasz zdrowie mego ciała i podkopujesz grunt na którym stoję. Co pan jéj na to odpowie?

Władysław wzruszył ramionami i odrzekł:

— Odpowiem jéj, a dla czegoż szanowna matko przekraczając granice twéj władzy, zraniłaś tyle razy moje serce i upokorzyłaś moją słuszną dumę? Bronię się, ot i wszystko!

— Bronię się! powtórzyłam, ale czyliż obrona w zaczepną wojnę przejść nie może? W takim razie społeczność może zostać zranioną a jednostka zmiażdżoną.

— W takim razie, odpowiedział na tę uwagę moją Władysław, powiem jak król francuzki: *tout est perdu fort l'honeur!*

Był to jedyny wypadek w którym w przeciągu trzech niemal tygodni wdał się ze mną w przydłuższą rozmowę, i zdala zaczepił o przyszłe swe zamysły. Niestety! dostatecznem to było, abym się przekonała, że na drodze którą mu wskaże to, co nazywał swym drogoskazem wewnętrznym, nie ścierpi żadnéj zapory; jakim zaś sposobem będzie ją przełamywał i czy przełamać ją zdoła, i co znajdzie za nią jeśli ją przełamie, była to już inna kwestja, któréj nie śmiałam rozwiązywć przerażoną myślą.

Pewnego nareszcie dnia Władysław oświadczył nam, że nazajutrz odjeżdża. Nic wprawdzie więcéj nad to nie powiedział, niemniéj jednak było to dla nas wyrokiem. Moja matka i ja zrozumiałyśmy, że nic już więcéj uczynić dla nas nie mógł, i że wszelka nadzieja uratowania w jakikolwiek sposób naszego majątku, została straconą.

Odjechał. Poszłam do mego biórka i zajrzałam do kalendarza, kilkanaście tylko dni zostawało do terminu, w którym powinnyśmy były ustąpić z domu. Podkreśliłam tę datę w kalendarzu czerwonym ołówkiem, aby się mi jak najczęściéj nawijała na oczy, abym nie zaniedbała spełnić wszystkiego co przedtem jeszcze powinno było być spełnionem. Był to biały i martwy dzień zimowy; dziedziniec i ogród usłane były śniegiem, światło popielate obłoki okrywały całe sklepienie nieba, a pod niemi nisko wisiały rzędy chmur ciemniejszych, szarych, ziejących mgłą i wilgocią. W ogrodzie na gałęziach bezlistnych drzew, siedziały wrony kracząc na wyścigi a niekiedy podlatywały aż pod ściany domu i skacząc po grzemsach dachu, pochylały grube swe dzioby jakby chciały ciekawie zaglądać w okna.

Zresztą w domu i wkoło domu zupełna panowała cisza; matka moja od chwili wyjazdu prawnika zamknęła się w swoim pokoju i nikogo widzieć nie chciała, co się jéj zresztą zdarzało coraz częściéj. Siedziałam przy oknie bawialnego pokoju sama jedna; przede mną stał mój koszyk z robotą ale nie wzięłam jeszcze do rąk igły, lubo już od godziny siedziałam na tem miejscu.

Patrzyłam na szare niebo, na drżące od wiatru nagie gałęzie, na śnieg, na wrony, ale wzrok mój machinalnie tylko przesuwał się po tych przedmiotach, ponieważ wcale nie myślałam o nich. Myślałam o téj dacie, którą w kalendarzu podkreśliłam czerwonym ołówkiem, i o tem co mi przed nadejściem dnia tego uczynić wypadało.

Nie wiem czy to był wpływ smutnéj natury, któréj widok rozkładał się za oknem, czy czegoś innego ale pamiętam, że miałam wielkie usposobienie do smutku. Broniłam się jednak od pokusy i ile razy uczucie smutku bardzo już zaczynało mię ogarniać, spoglądałam na drzwi prowadzące do pokoju mojéj matki i mówiłam sobie:

— Ej! Wacławo! czyliż jesteś tak niedołężną, abyś nie potrafiła być wesołą nawet dla ulżenia téj która tam taka smutna! Co to szkodzi, mówiła znowu pokusa, w samotności dać trochę folgę sercu i wyobraźni, pomarzyć, potęsknić a nawet zapłakać choćby chwilę? Gdy matka nadejdzie ukryjesz łzy, uśmiechniesz się i ku ulżeniu jéj smutkowi pokażesz twarz wesołą.

Tak szeptała pokusa i skłaniała głowę moją do marzenia i w dół kłoniła powieki pod któremi wilgotniała łza. Ale wiodłam rękę po czole, podniosłam oczy i patrząc na drzwi pokoju mojéj matki mówiłam sobie:

Nie poddawaj się Wacławo pokusie, rozmarzeniu do którego aż nazbyt skłonną jesteś z natury, i smutkowi co cię zapewne owiewa, od tych obłoków szarych, wron krakających nad dachem i tych drzwi za któremi płacze może twoja matka. Posmucić się i zapłakać w samotności to nic nie szkodzi istotnie, ale czy jesteś pewna że ta chwila uległości dla saméj siebie, nie rozmiękczy twego serca i nie odejmie ci téj jednostajności humoru, téj przytomności i pogody umysłu, i tego zapomnienia o sobie jakie winnaś posiadać, jeśli chcesz spełnić to coś zamierzyła? Pogroziłam sobie w duchu i zaczęłam rozmyślać nad tem, jak nazajutrz wyślę Binię do W. aby tam spieniężyła mój naszyjnik z pereł i kilka innych klejnotów, które w różnych czasach otrzymałam od moich Rodziców, i aby za pieniądze, które za te cenne błyskotki otrzyma, najęła nam w W. jakie skromne mieszkanko i zaopatrzyła je w niezbędne gospodarskie przyrządy. Zupełnie osobny planik ułożyłam o sposobie urządzenia pokoju dla mojéj matki w nowem naszem schronieniu. Miało być w niem wszystko do czego matka moja przywykła: dywany, kotara nad łóżkiem, miękkie sprzęty, grube firanki dobrze chroniące oczy od światła, biórko do pisania, klęcznik do modlenia się. Ustawiłam i ułożyłam to wszystko w myśli bardzo sympatycznie, i aż uśmiechnęłam się tak mi się wydał miłym i potulnym ten przyszły pokój mojéj matki. Potrzeba tylko było abym ten pomysł mój szczegółowo rozpowiedziała Bini, i aby ona wypełniła go przed naszém do W. przybyciem, czego zresztą mogłam być zupełnie pewną. Potem zaczęłam rachować na jaki mniej więcéj czas wystarczy nam suma, którą Bina otrzyma w zamian moich klejnotów i wyrachowałam, że przy skromnem wydatkowaniu będziemy z niej mogły żyć z jakie kilka miesięcy. To dobrze! pomyślałam sobie, przez ten czas zapracuję na dalsze miesiące!...

Kończyłam właśnie tę myśl gdy posłyszałam ciche zbliżające się do mnie kroki. Emilka weszła do pokoju i ze swoim dobrym kochającym uśmiechem na twarzy, usiadła naprzeciw mnie we framudze okna.

— Znajduję cię bardzo zamyśloną, kochana Waciu, rzekła biorąc mię za rękę, i nie dziw, masz przecie myśleć o czem. Powiedz mi kochanie, czy wypadkiem nie myślałaś także i o tem, że wraz ze mną przyjęłaś na siebie ciężar bez którego daleko by ci lżéj było? Zasmuciły mię te słowa Emilki; uścisnęłam ją serdecznie i wyłajałam za to, że mię w podobny sposób posądzać mogła.

— Po prawdzie, odpowiedziała, nie posądzałam ja cię o to moja droga, przybrana siostro, ale wyrazy moje były odbiciem méj własnéj myśli, która mię bezprzestannie dręczy. Często bowiem rozważając siebie samą i moje dotychczasowe położenie, znajduję że jestem bezużyteczną na świecie i niedołężną istotą, zdolną tylko nudzić się i płakać; nie zdolna dopomódz ani sobie ani komu. Wstyd mi że taką jestem i w tobie tylko jednéj pokładam nadzieję, że mię nauczysz być inną.

Z nowym uściskiem powiedziałam jéj, że taką jaką jest, jest najgodniejszą, najmilszą i najbardziej kochającą istotą.

— To za mało, rzekła Emilka smutnie wstrząsa-

jąc głową; łagodność i kochające serce nie starczą za inne zalety, których nie posiadam zupełnie. Chciałabym jeszcze być mężną, pracowitą i pożyteczną tak sobie jak drugim.

— Nie przychodzi to odrazu, odparłam; dotąd żyłaś w zbytku i próżnowaniu, i aż do chwili w któréj straciłaś matkę w ciągłych zabawach. Teraz kiedy już nie masz ochoty do bawienia się i zostałaś, prawie zupełnie ubogą, potrzeba dawania sobie rady i pustka życia jaką zapełnić sobie będziesz pragnęła, nauczą cię być i mężną i pracowitą.

— Oto mi chodzi, Wacławo. Nigdy jeszcze dotąd nie zapytałam cię jakie są twoje plany na przyszłość? Jaki zawód sobie obierzesz w którymbyś mogła zapracować na utrzymanie matki i swoje, i czy ja w téj przyszłéj pracy twojéj pomocną ci być mogę?

Jeżeli uważasz mię godną zaufania twego, opowiedz mi to wszystko, zwierz mi się z tem a może w twoich zamiarach i ja upatrzę sobie jaką niteczkę przewodnią, do któréj przyczepić się i za którą bym postępować zdołała?

Namyśliłam się przez moment a potem rzekłam....

— Kochana Emilko, kiedy wróciłam do domu mojéj matki po kilkoletniéj nieobecności, i przekonałam się że żadnego już nie pozostaje środka do wyratowania choć części jéj majątku, ani na chwilę nie zawahałam się nad wyborem zawodu, w którym bym jéj i sobie byt stworzyć mogła, a tym jest zawód nauczycielki do jakiego mieszkając przy ojcu przygotowałam się i usposobiłam. Ojciec mój zaraz jak przybyłam do niego, powiedział mi: „Każdy człowiek powinien posiadać wyłączną jakąś umiejętność i szczególne do czegoś zamiłowanie, jeśli chce przyszłość swą zabezpieczyć i od materjalnych i od moralnych niedostatków. Kto mówi człowiek, ten pod tym wyrazem rozumie tak kobietę jak mężczyznę. Tobie moja córko, chciałbym dać wyłączną jakąś umiejętność i rozmiłować cię w osobnym jakim zawodzie tak dobrze jak gdybyś była moim synem. Nie jesteś pozbawioną znacznych nawet zdolności umysłowych, gdybyś ich nie posiadała skłaniałbym cię do wyuczenia się mechanicznéj pracy jakiego rzemiosła naprzykład. Ponieważ je posiadasz, radziłbym ci udać się na uniwersytet, gdybyśmy żyli w Ameryce lub gdybyśmy się na naszéj ziemi urodzili w XXI wieku Chrystusowéj Ery. W danem zaś miejscu i czasie, w warunkach których jedynie rozwijać możesz w przyszłości twoją zdolność, radzę ci, abyś kształciła twój umysł tak, aby módz zostać nauczycielką w pełnem i szlachetnem rozumieniu tego wyrazu. To mi powiedział mój ojciec w kilka tygodni potem jak przybyłam do niego osłabiona na ciele i duchu, zmęczona tańcami, znudzona strojami i rozczarowana do świata i tego co on świetnościami i uciechami swemi być mieni. Posłuchałam rady ojcowskiéj tembardziéj, iż doskonale odpowiadała tajemnym żądaniom i przeczuciom jakie leżały we mnie od samego mego na świat wstąpienia. Uczyłam się wiele od ojca i innych podobnych mu ludzi, więcéj jeszcze myślałam i pracowałam w samotności, a w ostatnim roku przed odjazdem do matki, popróbowałam nawet sił moich w obranym zawodzie i dawałam lekcje kilku młodym dziewczętom. Rodzice moich uczennic i ojciec mój, który często przytomnym bywał moim lekcjom, znajdowali że udawało mi się wcale nie źle. Co do mnie nie zawsze a nawet rzadko byłam zadowoloną z siebie, bo tak wysoko zrozumiałam znaczenie dla świata i społeczeństw zawodu nauczycielskiego, iż wydawało mi się że nieskończenie niższą jestem od własnego pojęcia. A kiedy tę wątpliwość powierzałam memu ojcu, powiadał mi: „Poczucie własnéj niedoskonałości jest dla szlachetnéj natury wielkim bodźcem do doskonalenia się. Ten kto sam sobie wyda się skończonym ideałem, nigdy już do żadnego istotnego ideału nietylko nie dojdzie, ale nawet dążyć nie będzie miał ochoty. Dobrze jest że wątpisz o teraźniejszości, ale w przyszłość wierz zawsze i ufaj. Dobrze jest że masz tyle rozsądku aby módz powiedzieć: tego jeszcze nie umiem! ale strzeż się mówić sobie: nigdy umieć nie będę! Zbyteczna pokora tak samo pozbawia sił jak zarozumiałość. Człowiek który myśli o sobie że nic zrobić nie potrafi, tak samo nie przydatnym jest i nierozsądnym jak ten, który sądzi że nic mu już do uczynienia nie zostało. Skrupulatnie rozbieraj teraźniejsze postępki swoje i uzdolnienia, a gdy spostrzeżesz w nich jakie niewłaściwości i niedobory, nie opuszczaj rąk w zniechęceniu, ale przeciwnie zbieraj wszystkie twe siły i ufnie patrz w przyszłość mówiąc sobie: trzeba aby było lepiéj! „Miałam zawsze zwyczaj chwytać pilnie pamięcią słowa mego ojca, kiedy rozmawiał ze mną, a potem kiedy znajdowałam się samą spisywałam je w małym dzienniczku i zastanawiałam się nad niemi. Z tych notatek utworzyła się spora książeczka, którą uważam za przewodniczkę i doradczynię moją. Gdy więc przyjedziemy do W. i umieścimy się w nowem naszem mieszkaniu, książeczkę tę włożę do szufladki biórka około którego postaram się zgromadzić jak najwiękzą liczbę młodych istot, których zostanę nauczycielką.

Emilka słuchała tego co mówiłam naprzód z wyrazem zdziwienia, potem wielkiego zajęcia i bardzo skupionéj uwagi. Gdy skończyłam mówić milczała jeszcze kilka sekund, potem rzekła.

— Twój ojciec Wacławo, to bardzo niepospolity człowiek. Ja nigdy nie słyszałam aby ktokolwiek do młodéj osoby mówił to, co on mawiał do ciebie. Nam zawsze powiadano, że powinnyśmy jak najładniéj ubierać się i jak najładniéj wyglądać, aby módz jak najwięcéj podobać się i jak najświetniéj wyjść za mąż. Myślę że zapomniano o nauczeniu nas jednéj rzeczy to jest, co mamy czynić w porze kiedy nie ma gości i toaleta skończona, albo jeszcze w razie gdybyśmy za mąż nie wyszły.....

— Otóż to, rzekłam. Mój ojciec powiadał zawsze iż bardzo szczęśliwie jest, jeśli kobieta wyjdzie za mąż, bo w rodzinnem życiu najprędzéj znaleść zdoła szczęście dla siebie i sposobność stania się miłą i pożyteczną drugim, ale że przecie łatwo zdarzyć się może, iż za mąż nie pójdzie albo zobaczy się w potrzebie utrzymywania własną pracą ubogiéj rodziny, wtedy jeżeli nie posiada stosownych do pracowania uzdolnień, musi koniecznie być bardzo nieszczęśliwą.

— To prawda, westchnęła Emilka, twój ojciec miał wielką słuszność mówiąc to wszystko, ale powiedz mi, czy dla mnie nie jest jeszcze za późno, abym mogła nauczyć się czegokolwiek i zrobić z siebie coś więcéj jak taką niezdolną istotę jaką dziś jestem?

— Kochana Emilko, rzekłam, nie mogę ci lepszéj dać odpowiedzi, jak powtarzając słowa mego ojca o których tylko co mówiłam: „Zbieraj wszystkie twe siły i ufnie patrz w przyszłość mówiąc sobie: trzeba aby było lepiéj."

Błękitne oczy Emilki po raz pierwszy zapewne od dni wielu zaświeciły radością.

— Szczęśliwa myśl przychodzi mi do głowy! zawołała. Zostaniesz nauczycielką, Wacławo, a więc pomagać ci będę, wszakże umiem mówić po francuzku i grać na fortepianie!

Mimowoli uśmiechnęłam się z naiwności biednéj mojéj towarzyszki.

— To wprawdzie nie zupełnie wystarcza, aby zostać nauczycielką w tem znaczeniu, w jakiem rozumieć ten zawód należy nauczył mię mój ojciec odparłam, wszakże nie trać ufności i odwagi, bo i to jest materjał z którego może coś zda się zrobić. Emilka wydawała się trochę zdziwioną.

— Kochana Waciu, rzekła po chwili namysłu, i jakich że więcéj wiadomości potrzeba, aby módz zostać nauczycielką. Moje guwernantki nie umiały nic więcéj nad to co ja dziś umiem. Jeżeli oprócz znajomości muzyki i francuzkiego języka, idzie jeszcze o języki niemiecki i angielski, to i te nie są mi zupełnie obce....

Zatrzymała się i z niepokojem patrzyła na mnie, po chwili dodała ciszéj i z rodzajem nieśmiałości.

— Przecie zawsze ja i Zenia byłyśmy uważane za dobrze wychowane panny...

— I byłyście takiemi, odrzekłam, ale tylko w tem znaczeniu jakie wyrazowi temu nadaje ten świat, śród którego urodziłyście się i wzrosły, a wcale nie w powszechnem i prawdziwem. Nie wiesz może o tem, dobra moja Emilko, że dla młodéj panny która nazywa się w świecie dobrze, świetnie nawet wychowaną, mnóstwo prawdziwie pięknych i pożytecznych rzeczy nie znajduje się wcale, że wiedza istotna i prawdziwie wzmacniająca umysł człowieka, jest jéj tak obcą jak gdyby nigdy jeszcze nie zawitała na kulę ziemską. Odrobina płytkich i błyskotliwych wiadomości, jakie otrzymuje panna dobrze wychowana, z trudnością wystarcza dla niéj samej na pokarm serca i umysłu, a na podporę życia nawet nigdy prawie nie wystarcza. Jakże więc ta która sama nie posiada pokarmu i podpory, może podjąć się i udzielać ich drugim. A zawód nauczycielki, moja droga, nie jest niczem innem jak tylko podawanie młodszym istotom pokarmu dla serca i umysłu i podpory dla całego ich życia.

Emilka spuściła głowę i łzy zakręciły się w jéj oczach.

— Więc jestem do niczego niezdatną szepnęła. Wszystko czego mię uczono nie przyda mi się nawet do zarobienia na kawałek chleba, ani na godzinę prawdziwego spokoju?....

O, jakże ją żałowałam! Z jakiem współczuciem serdecznym objęłam ją ramionami, przycisnęłam do piersi i ucałowałam jéj czoło i usta. Uspokoiła się w mojem objęciu a potem jakby powodowana gwałtowną chęcią jakiejkolwiek czynności, pochwyciła z koszyczka moją robotę i zaczęła pilnie zszywać wełnianą materję z któréj sporządzałam sobie suknię. Uważałam jednak, że ściegi robiła krzywe i nieregularne a nitka rwała się i plątała co moment w niewprawnem jéj ręku. Wzięłam także igłę i zaczęłam zszywać dwa inne kawałki materji. Szyjąc zaś daléj ciągnęłam rozmowę.

— Pamiętasz może, kochana Emilciu, mego kuzyna Franciszka R., który wychował się przy babce Hortensji i w czasie mego pobytu u matki mieszkał w Rodowie...

Wymawiając te słowa podniosłam oczy dla wzięcia nitki z koszyczka i mimowoli spojrzawszy na Emilkę spostrzegłam, że silnie się zarumieniła i zrobiła kilka ściegów więcéj jeszcze krzywych i nierównych jak uprzednie. Udałam że tego nie widzę i zaczynając znowu szyć mówiłam daléj:

— Otóż Franusia mocno upokarzało położenie, w jakim zostawał mieszkając w Rodowie. Nazywał siebie niedołężną istotą i żebrakiem, zjadającym chleb rzucony mu z łaski i dla honoru familji. Prosiłam go aby przyjechał do nas i wezwał rady mego ojca co do wyboru innego sposobu życia. Ojciec mój przyjął go serdecznie, jako mego przyjaciela a zarazem ubogiego i dobremi chęciami ożywionego chłopca.

Przedtem jeszcze powiedział mi, iż gdy przybędzie poradzi mu aby wstąpił na uniwersytet i sam dopomoże mu do skończenia któregokolwiek z uniwersytetskich kursów. Ale gdy Franuś przyjechał i ojciec mój przez kilka dni porozmawiał z nim po parę godzin, wpatrując się wniego tak jak to on umie, wzrokiem wnikającem w najtajniejsze głębie umysłu i serca, pokazało się że Franuś daremnie by probował oddawać się naukom. Posiadał on także tylko obce języki i trochę znajomości muzyki, a do tego przez długą bezczynność umysł jego stępiał i stracił zdolność do subtelnych studjów i wytrwałego siedzenia nad książką. Zaczynać zaś od *a b c* dla Franusia było zapóźno, bo miał już dwadzieścia dwa lata i pragnienie działalności i niezależności było w nim tak silne, że aż wychudł, zbladł i można było słusznie obawiać się o jego zdrowie. Ojciec mój z właściwą sobie delikatnością powiedział mu to wszystko i dodał: „nie pozostaje ci nic więcéj, jeśli pragniesz zdobyć sobie niezależność i spokój, jak zostać rzemieślnikiem. Franuś spochmurniał trochę na to i zarumienił się, nie darmo bowiem wychowany był przez babkę Hortensję i tyle lat mieszkał w Rodowie ale po przepędzeniu u nas kilku dni jeszcze i po kilku nowych rozmowach z moim ojcem, pozbył się fałszywego wstydu i obrał sobie rzemiosło stolarskie. Przez trzy lata był uczniem u najlepszego stolarza jaki jest w K. a od kilku miesięcy został już sam patentowanym na majstra. Ojciec mój pożycza mu niewielką sumkę na założenie warsztatu, ponieważ jednak w K. jest wielu stolarzy a w W. zaledwie kilku i to nieszczególnych, Franuś lada dzień zapewne przyjedzie do W. aby tam założyć swój warsztat rzemieślniczy. Tak więc nie mogąc pracować głową, kuzyn mój nauczył się pracować rękami, a jestem pewna że mu się dobrze powodzić będzie, bo nabył wielkiej zręczności w swem rzemiośle, przyzwyczaił się do pracy a do tego wesoły jest, zadowolony z siebie a fizycznie tyle zdrów i silny że może dzielnie władać heblem i piłą.

Znowu potrzebowałam wydobyć nitkę z koszyczka i podniosłam oczy. Emilka przestała szyć, opuściła ręce na kolana, zrumienioną twarz podniosła i patrzyła na mnie tak rozjaśnionemi, błyszczącemi i błękitnemi oczami, że wydała mi się w téj chwili prawie ładną. Wiedząc że na nią patrzę, pochyliła się trochę, położyła zwolna rękę na mojem ramieniu i wymówiła z cicha.

— Waciu możebym i ja mogła wyuczyć się jakiego rzemiosła?..

Doprawdy w téj chwili była prawdziwie ładną, tyle naiwnéj szczerości, łagodności i promiennego uczucia było w jéj zrumienionem, wpółuśmiechionem, wpół nieśmiałością oblanem licu.

Kiedy całując ją powiedziałam, że opowiadanie moje o Franusiu, miało właśnie na celu myśl tę jéj nasunąć, że nie chciałam radzić jéj i narzucać mego pomysłu ale czekałam aż sam jéj przyjdzie do głowy, i że zdaje mi się iż najlepiéj uczyni, jeśli dla odegnania nudów i powiększania swych małych pieniężnych zasobów, zajmie się szczerze jakąś ręczną wyłączną pracą, rzuciła mi się na szyję i ukrywając twarz na mojéj piersi wyznała mi po cichu, ze łzą perlącą się w oku i wzmożonym rumieńcem na twarzy, iż będzie bardzo szczęśliwą zostając rzemieślniczką ponieważ Franuś był rzemieślnikiem, że przeprasza mię iż nie wyznała dotąd przede mną swego sekretu, ale że Franuś był najsympatyczniejszym dla niéj człowiekiem ze wszystkich ludzi jakich kiedy znała, że gdyby był przed kilku laty oświadczył się o jéj rękę, byłaby z pewnością poszła za niego choć by familja jak chciała ganiła ją za to, że sama nie wie doprawdy czy istotnie go kocha, bo przecie i tak dawno go nie widziała i on nigdy nie okazywał jéj wzajemnéj sympatji, ale że wie z pewnością o tem, iż nikt tyle się jéj co on nie podobał, i że jak wspomina o nim to czuje niezwykłe wzruszenie i smutek.

Wysłuchawszy tego jéj cichego wyznania spytałam, dla czego nigdy nie zapytała mię o Franusia chociaż ją tyle obchodził? Odpowiedziała mi, że z trudnością przychodzi jéj wymawiać jego imię, bo zaraz rumieni się i obawa ją zdejmuje aby komukolwiek nie wydało się to śmiesznem, iż się zajmuje człowiekiem, który może o niéj ani myśli. Zapytałam ją wówczas, co właściwie zniewoliło ją dla Franusia i tak bardzo jéj się w nim podobało?

Pomyślała chwilę, potem rzekła:

— Przypominam sobie, że pierwszy raz zwróciłam na niego uwagę w czasie jakiejś wielkiéj w naszym domu zabawy. Młodych ludzi było pełno ale wszyscy oni byli bogaci, a przynajmniéj niezależni i pewni siebie. Twój kuzyn nikogo tam prawie nie znał ani z kobiet ani z mężczyzn, a nikt też nie śpieszył zabierać z nim znajomości. W przestanku pomiędzy tańcami spostrzegłam go stojącego we drzwiach z rękami skrzyżowanemi na piersi, z pochyloną głową. Nie tańczył a wydawał mi się tak smutnym i upokorzonym, że aż mi się serce ścisnęło. Poszkałam i zaprosiłam go do mazurowéj figury. Pokazało się że tańczył bardzo ładnie, daleko lepiéj nawet od wielu z tych panów, którzy byli zupełnie pewni siebie.

Rozmawiał także bardzo przyjemnie, spostrzegłam że posiadał wyobraźnię i dowcip, w całéj jednak jego osobie było tyle jakiegoś tajonego smutku, tak żywe rumieńce oblewały mu czoło przy niektórych wyrazach mogących mieć związek z jego zależnem w Rodowie położeniem, tak zresztą okazywał mi się wdzięcznym za to, że tańczyłam z nim i rozmawiałam ciągle i innym pannom w bardzo grzecznych dla niego przedstawiałam go wyrazach, że odtąd zajęłam się nim na dobre. Zresztą, dodała po chwili, taką już mam naturę, że najwięcéj czuję się pociągniętą do tych, co trochę smutni i zmieszani, a zdaje mi się że pokochałabym nawet zbrodniarza, jeśli by nim przy mnie pogardzano, i że im gorzéj by się wszyscy z nim obchodzili, tem ja bym lepszą starała się być dla niego.

Słuchałam ją i podziwiałam piękność téj cichéj naiwnéj natury, na której czystość i dobroć nie podziałały ani całe lata spędzone w bezczynności, nudach i balach naprzemian, ani następnie niesprawiedliwości jakich doświadczała od ludzi. Pamiętałam dobrze, że Franuś opowiadał mi kiedyś o tem dobrem postąpieniu z nim Emilki, i pomyślałam sobie z uśmiechem: kto wie? Po krótkiéj jednak chwili uśmiech zniknął z ust moich, spojrzałam bowiem na twarz Emilki która ochłonąwszy ze wzruszenia co ją na moment było przyozdobiło, wyglądała znowu zwiędła nieco, o pospolitych rysach, grubéj cerze, niemal zupełnie brzydka. Obok niéj postawiłam w wyobraźni świeżą i rześką postać mego młodego kuzyna, którego przed kilku miesiącami zostawiłam w pełni młodzieńczéj siły, wesołości, swobody i wraz z nią rozbudzonych rojeń, i nie mogłam wstrzymać się od pomyślenia: biedna Emilka! Ale potem przyszło mi na myśl, że pomimo niezbyt powabnéj powierzchowności, Franuś zdoła może zrozumieć i ocenić tę dobrą i cichą istotę, i znowu powiedziałam sobie: kto wie?

— Więc układ skończony, ozwała się Emilka ściskając mi rękę. Gdy tylko przyjedziemy do W. ty Wacławo będziesz starała się o uczennice a ja o nauczyciela, który by mógł mię wyuczyć rzemiosła, jakiego? to mi już poradź. Oddaję się zupełnie twemu przewodnictwu. Radź mi, nauczaj, kieruj mną. Mam najlepsze chęci i rozumiem dobrze potrzeby mego obecnego położenia, ale jestem biedną dziewczyną pozbawioną zupełnie wszelkiéj samodzielności.

Powiedziałam jéj że jestem i będę zawsze najlepszą jéj przyjaciołką, i postaram się jak najlepiéj jéj poradzić, ale aż wtedy gdy będziemy już mieszkały w W. ponieważ tak odrazu trudno o czemkolwiek stanowczo zadecydować, tem bardziéj jeśli idzie o tak ważny przedmiot, jak wybór zatrudnienia na całe życie.

Emilka rozmarzyła się i zaczęła wyliczać z kolei wszystkie rzemiosła kobiece, o jakich tylko kiedy posłyszeć mogła. Czyniła z siebie to szwaczkę, to szewczynię, to rękawiczniczkę, to introligatorkę, a mnie się ciągle zdawało, że poglądając ukradkiem na swoje białe i drobne ręce, żałowała z całego serca że na żaden sposób nie może zostać stolarzem. Dopomagałam jéj szczerze w tych marzeniach z których wywiązać się mogła jaka myśl praktyczna, i stopniowo jak ona przechodziła w rozmowie z przedmiotu na przedmiot, starałam się jéj tłomaczyć różne techniczne strony rozmaitych rzemiosł, ich trudności i pożytki co mi z tem większą przychodziło łatwością, że mieszkając przy ojcu zwykłam była zwiedzać w jego towarzystwie liczne fabryki i rękodzielnie, a tym sposobem zaznajomiłam się z prawami rządzącemi przemysłem i z jego wewnętrzną stroną ukrytą przed większością ogółu.

Gdy tak rozmawiałyśmy drzwi pokoju otworzyły się zwolna, i na progu stanął mężczyzna w grubych butach i wytartem odzieniu.

Nie zdziwiło mię ani przelękło to zjawisko, bo nieraz już widziałam je wsuwające się w podobnie nieceremonjalny sposób do naszych bawialnych pokojów. Był to urzędnik wielce niskiego stopnia, rozwożący po dworach urzędowe papiery.

Podeszłam na środek pokoju, nieproszony mój gość zbliżył się także a gdy szedł jesionowa posadzka uginała się i jęczała pod jego ciężkiemi stopami. Ukłonił się niezgrabnie, oddał mi pakiet papierów zamknięty w wielkiéj kopercie zapieczętowanéj wielką pieczęcią, i prosił abym mu napisała stosowne pokwitowanie. Byłam już zupełnie oswojona z tą procedurą, bo przed tem jeszcze ile razy widziałam zjawiającego się na dziedzińcu niemiłego posła, wychodziłam śpiesznie na jego spotkanie, aby zapobiedz nieprzyjemności jaka by z tąd dla mojéj matki wyniknąć mogła. To też i teraz po napisaniu i oddaniu żądanego pokwitowania rozpieczętowałam pakiet i rzuciłam okiem na wielki arkusz papieru, na którym wypisane były nazwiska kilku majątków, mających być wkrótce wystawionemi na sprzedaż, a obok każdego z tych nazwisk umieszczoną była data. Przy nazwisku oznaczającym dobra mojéj matki, zobaczyłam tę samą datę, jaką przed kilku godzinami podkreśliłam w kalendarzu czerwonym ołówkiem.

Z papierem w ręku stałam chwil kilka myśląc nad tem, jak go pokażę mojéj matce, ponieważ był to już ostateczny wyrok, który najmniejszéj co do pory w któréj miałyśmy wynosić się z domu nie zostawiał wątpliwości.

Potem schowałam papier do kieszeni, zwróciłam się do Emilki, i opowiedziawszy jéj co zawierało w sobie otrzymane pismo, rzekłam podając jéj rękę:

— Teraz kochana Emilko gdy wszystko już stanowczem jest i nieodwołalnem, wzywam twojéj pomocy. Obie zjednoczone jedną myślą i jednem pragnieniem, stańmy z obu stron mojéj matki i wesprzyjmy jéj słabe siły. Bądźmy spokojne aby wlać w nią pogodę, bądźmy wesołe aby oderwać ją od jéj smutków. Stwórzmy wkoło niéj tyle ciepła aby przestała żałować utraconego blasku. Uczyńmy jéj ubóstwo o tyle znośnem aby mogła dać mojemu ojcu dowód, że się go nie lęka i kiedyś połączyć się z nim mogła bez wstydu i bojaźni. Wzywam cię

abyś mi pomogła w tem zadaniu z jakiego uczyniłam sobie cel życia. Tak jak jesteś dla mnie czułą i wylaną siostrą, tak bądź dla mojéj matki córką serdeczną i pobłażliwą.

Emilka rzuciła się w moje objęcia i gdy szeptała mi na ucho tysiące słów podziękowania i czułości, ostatecznie przekonałam się, jak wierną, szczerą, ukochaną będę miała z niéj towarzyszkę.

XVI.

Przed odjazdem chciałam raz jeszcze odwiedzić p. Rudolfa i jego dzieci a wszczególności Madzię, którą w ostatnich kilku tygodniach widywałam dość często, i która zawsze sprawiała na mnie wrażenie wiosennego poranku, z zapachem róż i spiewem skowronków. Tym razem jednak znalazłam Madzię w takiéj postawie, w jakiéj widzieć ją nie spodziewałam się wcale. Ponieważ śnieg grubo zaścielał ziemię sanie moje tak cicho podjechały pod ganek, że nikt wewnątrz domu nie spostrzegł mego przybycia. W przedpokoju zdjęłam futro i uchyliłam drzwi do bawialni, aby zobaczyć czy kogokolwiek z domowych tam nie znajdę. Było to przy końcu dnia i ogień żywym płomieniem palił się na kominku. Przed kominkiem siedziała Madzia z rękami splecionemi na ręcznéj robocie, która leżała na jéj kolanach, i ze wzrokiem utkwionym w ogień. Była tak zamyślona że nie słyszała szelestu otwierających się drzwi, a na otwartéj zwykle i rumianéj twarzyczce widocznie malował się smutek i troska. Zasmucił mię ten widok i zaraz zapragnęłam ją rozweselić, ponieważ siedziała bokiem zwrócona do drzwi, któremi wchodziłam, podeszłam na palcach,bez najmniejszego szelestu stanęłam za nią i nagle zakryłam jéj oczy rękami. Krzyknęła zrazu przestraszona, ale zaledwie pochwyciła mię za ręce, któremi jéj zasłoniłam oczy zawołała: Wacławo! poznałam od razu twoje łapki! I śmiejąc się w głos rzuciła się mi na szyję. Zwabione jéj głośnym śmiechem dzieci wbiegły do pokoju, i w mgnieniu oka zostałam otoczona wesołem szczebiocącem gronem.

Po chwili nadszedł p. Rudolf a dość mi było przez jedną chwilę przyjrzeć się mu, aby odgadnąć przyczynę smutku i troski, jakie wchodząc widziałam na twarzy Madzi. Na pamięć przyszły mi słowa o jakiejś dalekiéj podróży zamienione pomiędzy Rudolfem i Władysławem, a które zasłyszałam wypadkiem, jak śród dość ożywionéj rozmowy ze mną, p. Rudolf długie spojrzenie zatrzymał na twarzach swych dzieci a mianowicie Madzi, byłam pewna że w duchu ustawicznie się z niemi żegnał. Mówił jednak więcéj jak zwykle i zdawał się być nawet wzmocnionym i podniesionym we własnych oczach, bo powieki jego mniéj często zapadały mu na źrenice, a z czoła zniknął bez śladu wszelki wyraz przygnębienia. Zmiana ta czyniła powierzchowność jego bardziéj jeszcze szlachetną i sympatyczną, niemniej jednak czuć było iż brała źródło z rozpacznéj jakiejś energji i niezmiernych cierpień wewnętrznych. Obejrzałam się wkoło a przypatrując się skromnym i przyjemną ciszą napełnionym pokojom, jasnym główkom dziecięcym tulącym się z miłością do piersi ojcowskiéj i ślicznéj twarzyczce Madzi pomyślałam sobie, iż ciężko zaprawdę musiało być człowiekowi znękanemu życiem i szukającemu już tylko spokoju, odrywać się od tego rodzinnego gniazda i jechać zuowu w świat, po co? nie wiedziałam ale domyślałam się z owych kilku słów zasłyszanych, że po nowe cierpienia i niepokoje.Musiał to być jakiś wielki błąd do naprawienia i wielka do wynagrodzenia krzywda skoro aż takiéj wymagała ofiary.Domyślałam się, że ofiara ta miała na celu matkę moją i mnie, a może i kogoś więcéj jeszcze, dałabym wiele abym mogła odwrócić p. Rudolfa od myśli jéj spełnienia, ale nie czułam się w prawie pytać, nie śmiałam pytać i nie posiadałam zresztą żadnéj rękojmi dla trafności domysłów moich. Wciągu wieczora siedzieliśmy przy kominku we troje, dzieci przeglądały zdala od nas książeczkę którą im przywiozłam. Opowiadałam Rudolfowi moje zamiary na przyszłość, i plan według którego urządzić miałam sposób życia swój i tych, z którymi żyć razem będę. Słuchał mię z wielką uwagą, udzielił mi kilka rad bardzo trafnych i praktycznych i przyrzekł, że gdy będziemy odjeżdżały przeprowadzi nas aż do W. i pomoże mi w kłopotach urządzania nowego pobytu. Madzia słuchała całéj naszéj rozmowy nie wymawiając ani jednego słowa, ale jak widać było z wyrazu jéj twarzy, słuchała z natężoną i skupioną uwagą. Kiedy potem Rudolf oddalił się na chwilę, wzięła mię za rękę i rzekła:

— Czy wiesz Wacławo, że przewiduję wielkie zmiany w naszym domu. Rózia przyjeżdżała tu wczoraj i ojciec miał z nią długą rozmowę sam na sam, po któréj Rózia wyszła jak mi się zdawało z zaczerwienionemi od płaczu oczami, i względem ojca bardziéj była czułą i serdeczną niż kiedykolwiek ją widziałam. Przed odjazdem powiedziała mi, że ojciec wkrótce wyjedzie w daleką i długą podróż. Wyobraź sobie moja droga, jak to smutno! Mama mieszka już ciągle zdala od nas i bardzo rzadko ją widujemy, a tu i ojciec nas opuści!

To mówiąc Madzia zakryła dłonią swoje piękne oczy z których łzy się sączyły. Dziwnie przykro mi było widzieć smutną i płaczącą tę młodziuchną istotę, która zdawała się być na to stworzoną, aby zostać na zawsze świeżą jak róża i przezroczystą jak kropla rosy. Mój Boże! pomyślałam, czyż nikogo już a nikogo życie to nie oszczędza, nawet takiego niewinnego kwiatka, który nic i nikomu nie zawinił na tym świecie! I głęboko zamyśliłam się nad tem jak długo i daleko ciągną się skutki błędu jednego człowieka, jak gorzkim i ciemnym strumieniem rozlewają się one nawet na głowy niewiniątek, które nic o żadnych błędach nie wiedzą! A kto wie? z im większego może serca, z im szlachetniejszego umysłu błąd wypływa, tem straszniejszym i dłuższym grzmi gromem, tem więcéj przynosi wkoło siebie zniszczenia i zdruzgotania i z tem większą trudnością zacierają się jego ślady. Głupiec i nędznik błądzi i zapomina; piękna dusza zbłąkana wydziera się z manowców całą siłą swéj prawdy wewnętrznéj która ją bodzie, boli i rozrywa i do odszukania światła straconego przedziera się szlakami pokuty, obłewając je choćby łzami swemi i cudzemi. W końcu wieczora p. Rudolf powiedział mi także w kilku słowach, że dla spraw bardzo ważnych zamierza wkrótce w daleką puścić się podróż, i że przed odjazdem zaniesie do mnie i do mojéj matki pewną usilną prośbę. Chciałam aby mi zaraz objawił swoje żądanie, ale powiedział że uczyni to później, bo wprzódy jeszcze wypada mu zobaczyć jak się urządzimy w mieście i jak się nam powodzić będzie. Ze spojrzeń jakie rzucał na Madzię domyślałam się, że prośba o któréj mówił miała ją na celu. Upewniłam się w moich domysłach, gdy Rudolf rzekł do mnie na stronie i z cicha:

— Znasz pani starszą córkę moją. Dla małego swego rodzeństwa była ona zawsze czułą i oddaną i czuwała nad niemi z troskliwością i rozumem. Jest ona jednak tak znękaną, charakter jéj wyrobił się tak nienaturalnie i krzywo, że dla dziewczyny dorosłéj jaką już jest Madzia, szczerzebym się obawiał ciągłego jéj towarzystwa i wpływu tembardziéj, jeśli by te połączyły się z osamotnieniem w jakiem zostawać będą obie po moim odjeździe, i ze smutkiem jakiego doświadczać będzie Madzia, im więcéj oczy jéj otwierać się zaczną na smutne nasze familijne stosunki.

Wracając do domu przez całą drogę z przerażeniem prawie myślałam o téj rodzinie tak dziwnie rozdartéj i roztrojonéj, któréj każdy członek osobnemi szedł drogami, osobne posiadał uczucia i pragnienia, która słowem była niczem innem, jak jednym ostrym i rozdzierającym dyssonansem.

W kilka dni po moich odwiedzinach u p. Rudolfa, w domu naszym panował ruch wielki. Urzędnicy siedzieli za stołami i spisywali długie regestra wszystkiego co się tylko znajdowało we dworze, a pełnomocnik pana Henryka S. obejmował w posiadanie majątki nasze w imieniu swego pryncypała, który je nabył za czwartą część słusznéj ceny to jest za swoją tylko należność.

Żądanie jego zostało spełnionem — był miljonerem.

Urzędnicy uśmiechali się i w przestankach pisania szeptali między sobą, że pan S. puści z kwitkiem pomniejszych kredytorów a wspólników swoich, którzy tajemnie dopomagali mu do oplątania w sidła mojéj matki, pośle według wyrażenia p. Władysława, dopominać się o pieniądze jakie mu w tym celu dawali do Sellenitów.

Matka moja przetrwała cały ten czas z suchemi oczami i niewzruszoną twarzą. Obojętna była i wyniosła z obcemi ludźmi, którzy na nią z litością patrzeć chcieli, łagodna chociaż także milcząca z nami. Wiedziałam ile ją kosztować musiała ta wymożona obojętność i duma; wolała bym była widzieć ją płaczącą. Dopiero gdy przyszła chwila w któréj opakowane nasze sanie podjechały pod ganek, a jéj przyszło przestąpić próg domu w którym urodziła się i tyle lat przeżyła, siły ją opuściły,Bez łez i skargi ale blada śmiertelnie, z gorączką w oku i obwisłemi na suknię rękami, stanęła w ganku plecami oparta o ścianę i zdawało się być bliską zemdlenia. Obie z Emilką objęłyśmy ją czule i z głębokiem poszanowaniem dla jéj boleści, zmusiłyśmy ją nieledwie aby co prędzéj siadła do sań i uniknęła zwróconego na nią wzroku obcych ludzi.

Była to jedna z najcięższych chwil jakie przebyłam kiedy w życiu, serce mi się rozdzierało gdy patrzyłam na matkę, a jednak nie powinnam była pozwolić sobie na żadne widome rozrzewnienie. Miałam je w sercu ale nie na twarzy.

(d. c. n.)

———————

SKAŁA LEGJI HONOROWEJ

NOWELLA

B. Auerbach'a

przełożył O...

ROZDZIAŁ I.

MASKARADA NA KOLEI ŻELAZNEJ.

Na dworcu kolei żelaznéj jednéj z dróg środkowych Niemiec, wśród górzystego krajobrazu, zatrzymał się gustowny i odkryty powozik, zaprzężony parą siwków w cieniu wielkiego buku, okrytego jasnym wiosennym liściem.

Wsparta o żółte adamaszkowe poduszki, siedziała w nim młoda postać kobieca ubrana w popielatą suknię, skrzyżowała ręce na piersi, a jéj wielkie ciemne oczy skierowały się w stronę gór, co piękną wężykowatą linją znaczyły się na widnokręgu. Po chwili odrzuciła w tył głowę, ozdobioną modnym tyrolskim kapeluszem, od którego powiewały zielone kogucie pióra, wstała, wydobyła sporą, w szare płótno oprawną tekę z bocznéj kieszeni powozu i zaczęła rysować, raz szybko spoglądając na krajobraz, to znów pilnie i poważnie wzrok na papier zwracając. Rysy jéj nabrały jakiegoś głęboko poważnego wyrazu, owalną twarzyczkę z nieco brunatnym odcieniem, pozbawioną już owéj świeżéj, puszkowéj barwy, która jest wyłącznym przywilejem pierwszych lat młodości, oblał lekki rumieniec. Zacięła pięknie narysowane usta, których górną wargę delikatny meszek ocieniał, jakimś wyrazem zniecheęcenia, niemal gniewu. Zdawała się nie dość zadowolnioną ze swéj pracy; odłożyła ją kilkakrotnie wstrząsnęła głową, co więcéj, raz nawet zamknęła książkę. I znów jakby dodając sobie odwagi, otworzyła ją i pracowała daléj, twarz jéj nabierała spokojniejszego, prawie zadowolnionego wyrazu.

Założenie kolei żelaznéj otworzyło nowy punkt, zkąd podziwiać można było piękność krajobrazu, którego inaczéj nigdyby może nie odkryła, gdyż to jest ogólnym a wybitnym charakterem naszych czasów, że na wszystko lubimy z nowego zapatrywać się punktu.

Rysowniczka coraz pilniéj zajmowała się swą pracą. Mimo wiosennego dnia o umiarkowanem cieple było jéj za gorąco, szybko zdjęła z głowy kapelusz i położyła go obok siebie. Ciemne włosy gładko po nad czołem zaczesane układały się z tyłu głowy w dwa grube warkocze, czoło nie zbyt wysokie, w poważnem zamyśleniu przerzynała przez środek głęboka fałda, któréj ślad pozostawał nawet w chwilach zupełnego spokoju. Całość téj twarzy mówiła wyraźnie, że surowa rzeczywistość życia nie jeden na niéj znak pozostawiła.

Z pomiędzy śpiewów skowronków unoszących się w powietrzu i zięb siedzących wśród gałęzi drzewa, zabrzmiał zdala przeciągły, ostry świst lokomotywy. Rysowniczka pośpiesznie dodała kilka kresek, zamknęła książkę, schowała ją znowu, włożyła na głowę kapelusz, i założywszy ręce zdawała się oczekiwać spokojnie. Służący w ciemnéj liberji przystąpił do woźnicy, który trzymał lejce, a potem zdjąwszy kapelusz z czarną kokardą przemówił do kobiety nazywał ją: „panną“ — oznajmując że pociąg za chwilę nadejdzie.

Otworzył drzwiczki i zrobił ruch jakby chciał jéj dopomódz do wyjścia z powozu. Kobieta jednak nie patrząc wcale na służącego, z okiem wlepionem w przestrzeń odrzekła:

— Nie zejdę, przyprowadźcie tu pannę Korneck. W głosie jéj brzmiał wyraz nakazujący może nawet gniewny.

Ludwika Merz, takie jest nazwisko właścicielki powozika, oczekiwała przyjaciołki młodości, z którą wiązała ją jeden z owych stosunków pensjonarskich, tak rzadko przedłużanych. Zdawało się jakby oczekiwana była niemal powodem niepokoju, który zawsze z sobą przynosiła, bo Ludwika raz wstawała, to siadała znowu. Widać było że się waha czyby czasem nie powitać przyjaciołkę gdy z wagonu wysiadać będzie, ale teraz gdy spostrzegła że urzędnicy kolei, którzy właśnie wyszli na peron, patrzyli w jéj stronę, co więcéj, że rozmawiali o niéj i innych uwagę na nią zwracali pozostała w powozie. Ludzie nie powinni byli wiedzieć że ma przyjaciołkę co tak łatwo umie się wzruszać, a któréj obejście mogłoby zwrócić powszechną uwagę. Cała okolica powinna była wiedzieć, że Ludwika Merz skończyła z życiem, i że dziś już postępuje jak dojrzała matrona.

Musiano powstrzymać konie za cugle, bo w téj chwili właśnie tuż obok przebiegł pociąg. Biała chustka powiała z wagonu drugiéj klassy i pociąg się zatrzymał. Jakaś kobieta podała ostrożnie służącemu w poduszki owinięte dziecko, złożyła je w jego ręce poczem wysiadła z wagonu. Postać jéj była wysmukła suknie jasne; raz jeszcze skinęła głową na pożegnanie swym towarzyszom podróży i zwróciła się ku oczekującéj ją przyjaciołce. W jéj poruszeniach była dziwna żywość, patrzała wkoło siebie, w twarze ludzi napotykanych z takim wyrazem, jakby miała ochotę ich pytać czy nie wiedzą czego, z czegoby się pośmiać można. Wkrótce postawiano na ziemi pudełka i worki podróżne, przybyła odebrała z rąk służącego zawiniątko, które jak się zdawało zawierało małe dziecko, podtrzymała je ostrożnie i pospieszyła z niem do przyjaciołki. Służba z pakunkami udała się za nią, nawet inspektor kolei niósł jakiś woreczek; znał on dobrze przybyłą, któréj ojciec był kiedyś jego kapitanem.

Zbliżywszy się do powozu nowo przybyła zawołała wesoło.

— Co powiesz na to, Ludwiko, że przywożę z sobą dziecko?

I nim jeszcze zdumiona przyjaciołka odpowiedzieć jéj zdołała, rozwinęła poduszki, z których wyskoczył taks biały z ciemnemi plamami, otrząsnął długie jedwabniste uszy jakby po wydostaniu się z niemiłéj kąpieli i pobiegł do swéj pani, która jednak nie raczyła udarować go spojrzeniem, ale wśród śmiechu otaczających zwracając się raz do inspektora to znów do Ludwiki wołała:

— Czyż to nie jest grzeczne dziecko? Panowie urzędnicy, surowo wszelkich praw przestrzegający nie pozwolili mi zabrać z sobą mego przyjaciela, mimo że jest dobrze wychowanym. A że jak wiadomo, tyranja uczy nas rozumu, więc mego pieska przebrałam za dziecko i z tego powodu miałam najpocieszniejsze zajścia. Zwyczaj, że w domach najchętniéj się widzi lokatorów bezdzietnych, rozciąga się już i do wagonów kolei. W kilku, do których z mem mniemanem dzieckiem wejść chciałam, wołano bardzo uprzejmie, tu nie ma już miejsca, a gdy wreszcie rozgniewana w jednym z nich się ulokowałam, matki chciały koniecznie zobaczyć twarz owiniętego dziecka, a pewien jeszcze wcale przyzwoity wdowiec, któremu musiałam wyznać że już nie mam męża, zrobił mi pół propozycję małżeństwa.

— Panie inspektorze, zawołała zwracając się do serdecznie śmiejącego się urzędnika, panie inspektorze, nie sądzę abyś był takim pedantem i pociągnął mnie do odpowiedzialności a może i kary pieniężnéj.

A że w téj chwili piesek, jakby pojmując że tu o niego chodziło, poskoczył ku swéj pani, zawołała zwracając się do niego.

— Tak, byłeś bardzo grzeczny i doprawdy, ty masz rozum człowieka.

Urzędnicy kolei i wszyscy podróżni, którzy tu wysiedli, otoczyli ich kołem i śmieli się serdecznie, nawet kelnerzy z restauracji przybiegli, a kucharka wyglądała z po za drzwi kuchni ku wesołéj grupie załośnie patrząc na ubiór, który jéj nie pozwalał się wydalić z granic swego państwa. Pies zdawał się przeczuwać że tam bije przychylne dla niego serce, bo zniknął nagle.

Wśród tego wesołego grona Ludwika jedna wyglądała jakoś kwaśno, prosiła, aby się spieszono z odjazdem. Ten żart przyjaciołki nie był jéj przyjemnym. Walizy, pudełka i worki były upakowane, i już miano odjeżdżać ale pieska tylko nie było. Wołano go dość długo, wreszcie nadszedł z kuchni oblizując się, spojrzał raz jeszcze ku swéj dobrodziejce i posadzono go w powozie przy pani. Służący musieli sobie gwałt zadawać, aby się nie śmiać ciągle.

Powóz potoczył się po drodze a pozostali na dworcu, długo za nim spoglądali. Inspektor opowiadał mniéj obeznanym z miejscowością, kto były owe dwie damy. Gospodarz i gospodyni dopełniali objaśnieniami, ale i oni nie wiedzieli o nich wszystkiego.

ROZDZIAŁ II.

CÓRKA PARLAMENTU.

Zdania są podzielone, jedni utrzymują że Ludwika miała lat piętnaście, inni że ośmnaście, w chwili gdy jéj ojciec, bogaty fabrykant Merz przed dziesięcioma laty po raz pierwszy na posła wybrany, wraz z nią zamieszkał w stolicy. Niezależny, doświadczony i ukształcony, był on dobrze widzianym członkiem większości wolnomyślnego parlamentu, który miał też odpowiednie ministerium. Ministerium to było wyborem panującego — ale też rząd najzupełniéj harmonizował z poglądami ogółu.

Pan Merz miał zaledwie nieznaczną mniejszość przeciwników swego wyboru do zwalczenia, przyjął mandat, tem chętniéj że z natury nie lubił należeć do wszelkiéj opozycji, tu zaś mógł własnym nie przeniewierzając się zasadom, prawną postępować drogą. Było mu to wprawdzie nie na rękę, że fabrykę musiał zostawić pod dozorem intendenta, chociaż zupełnie zasługującego na zaufanie, z drugiéj strony jednak spodziewał się, że zmiana miejsca i nowe zajęcia dopomogą mu do chwilowego rozproszenia, a następnie do zupełnego zapomnienia smutku, na krótko bowiem przedtem stracił żonę, którą bardzo kochał i z którą żył szczęśliwie.

W nowo najętem mieszkaniu w stolicy, wkrótce urządzono się wygodnie, do czego głównie przyczyniła się matka zmarłéj żony pana Merz, towarzysząca synowi i wnuczce.

Sprawozdania z posiedzeń nie zawierały żadnéj mowy pana Merz, za to tem pilniéj i pożyteczniéj pracował on na owem polu, co to jak fundament budynku na jaw nie wychodzi ale dźwiga całą budowlę.

Babka z Ludwiką zazwyczaj pół dnia przesiedziały na galerji przeznaczonéj dla rodzin posłów, a panowie z dolnéj sali często spoglądali ku poważnéj matronie i pięknéj dzieweczce, któréj żałobna suknia dziwnego dodawała uroku. Często ten lub ów z bliżéj znanych im posłów, w czasie pauzy lub nudnego rozrachowywania głosów, wchodził na galerję

aby z niemi porozmawiać. Ludwika wówczas po większéj części była milczącą, ale wiele tych rzeczy posłyszanych złożyło się na jakieś niezwykłe żywioły wewnętrznego jéj życia.

Wiosnę czyli zamknięcie parlamentu powitano jak dzień wyzwolenia. A gdy przybyli do fabryki zdawało się wszystkim, że teraz dopiero odetchnęli wolno po parnem parlamentowem powietrzu. Ludwika odżyła zupełnie.

Gdy następnéj jesieni znów z ojcem i babką powróciła do stolicy, a na ten raz już nie w żałobie, powitało ją liczne koło dobrze jéj znajomych. Wielu deputowanych przybyło również z żonami i córkami i utworzyło się odrębne koło, którego główny powab stanowiła różnorodność indywiduów, z rozmaitych okolic kraju nagromadzonych i jakaś szczególna, niemal rodzinna serdeczność.

W trzecim roku znowu ożywiło się kółko; koleżanka Ludwiki, Maria Korneck została wraz z ojcem przeniesioną do stolicy. Obie panienki były przyjaciołkami na pensji, nie tak jednakże aby tę przyjaźń po za rozstanie przeciągać. Spotkawszy się wśród świata były z takiem dla siebie uczuciem jakby je najściślejszy dawniéj łączył stosunek, miało się wspólne dziecinne wspomnienia, było tyle do opowiadania o koleżankach, dziś po różnych częściach świata rozproszonych, o pedanterji guwernantek i niektórych nauczycieli, a i o owym profesorze historji w którym wszystkie uczennice kochały się na wyścigi. Zdawało się, że sama sprzeczność istot obu przyjaciołek miała w sobie jakąś siłę atrakcyjną. Marja miała w swym charakterze coś żołniersko stanowczego, słów jéj nigdy nie brakło, a na życie zapatrywała się jak na grę wesołą, Ludwika przeciwnie, miała w usposobieniu coś myślącego, słuchała z uwagą i spokojnie, a gdy następnie odpowiedziała to zdanie jéj było rozsądne i poważne. Wkrótce i ojcowie poprzyjaźnili się z sobą a że ówczesne ministerium, którego podporą, była partja pana Merz odznaczało się liberalnością, więc major Korneck nie miał żadnéj przeszkody do zażyłości z człowiekiem, którego opinje polityczne były czysto liberalne. Maria von Korneck wprędce weszła w towarzyskie kółka stolicy, znała jak najwyborniéj najlepszych tancerzy, najzabawniejszych staruszków, a młodego porucznika von Birkenstock który był jakimś dalekim jéj krewnym i tytułował ją kuzynką, miała za gotowego na swe usługi czciciela, który i dla jéj przyjaciołki okazywał się również uprzejmym i uległym.

Niedługo Ludwikę porwał prąd zabaw zimowych. Dla posłów i ich rodzin stały salony ministrów i najpierwsze koła towarzyskie stolicy otworem, ztąd przez wiele sal balowych przechodziły się Ludwika z Marją pod rękę, a tłum uzbrojonych i nieuzbrojonych oczu ścigał je spojrzeniami.

Mówiono o wielu starających się o rękę Ludwiki, ona jednak była równie grzeczną dla wszystkich, nikogo nie wyróżniając. Ożywiała towarzystwa męzkie swemi stanowczemi a poważnemi odpowiedziami, nie nadaremnie przysłuchiwała się niejednemu posiedzeniu izb, przechylając się do zdania to tego to owego mówcy, aż wreszcie doszła do wyrobienia sobie samoistnego sądu.

Zupełnie nowe otworzyło się jéj życie, gdy wraz z Marją weszła do szkoły malarstwa, którą właśnie jeden ze znakomitszych artystów umyślnie dla panien otworzył. Marja umiała dobrze rysować głowy ludzkie, ale najchętniéj robiła karykatury, Ludwika miała upodobanie i talent do pejzażu. W pracowni Marja réj wiodła, wiedziała zawsze o wszystkiem co się działo w stolicy, szczególniéj w kołach wojskowych. Samo jednak przez się wynikło, że Ludwikę uznano za najlepszego we wszystkiem sędziego, a że gdy ją o zdanie zapytano dawała je z namysłem i gruntownie wchodząc w stawiane zarzuty, więc mimowolnie prawie nadano jéj nazwę: „córki parlamentu.”

Marja była żywą, wesołą a szczególniéj żartobliwą i sprzeczną z panem Merz. Ten ostatni często powtarzał, że życie swe po śmierci żony poświęci wyłącznie dziecku i dobru swego kraju. Pierwszéj już jednak zimy, w któréj Marja bawiła w stolicy i codziennym ich była gościem, znacznie osłabł w tem postanowieniu. Marja któréj pilnemu oku ta skłonność nie uszła, nie wzbraniała się bynajmniéj, owszem, była dla niego serdeczną i pełną zaufania, nawet major zachowywał się względem pana Merz tak jakby chciał powiedzieć: „Czego się obawiasz stary? Ta rzecz dałaby się dwoma słowami zakończyć”.

Przez kilka tygodni pan Merz nie słyszał wkoło siebie debat w sali posiedzeń, bo zagłuszały je debaty, które się w duszy jego odbywały, a te były burzliwe, partje walczyły zawzięcie, całkiem nieparlamentarnie tak że prezydujący, zimny rozsądek, często musiał je do porządku przyzywać.

Pan Merz nie wydawał się z uderzeń swego serca te jednak nie uszły oka jego teściowéj. Kiedy wszyscy zachwyceni byli wesołością Marji, oczarowani jéj żywością, kiedy ojciec i córka współzawodniczyli w pochwałach, a po jéj odejściu czuli pustkę i osamotnienie, sędziwa staruszka wstrząsała często siwą głową i odrywając się od pończoszki mówiła:

— Szkoda, szkoda! panna Korneck byłaby doskonałą aktorką.

Pan Merz powściągał się i często powtarzał w obec Marji i jéj ojca, że wyrzekł się już dla siebie szczęścia, że oczekuje go jeszcze tylko od Ludwiki. Spodziewał się zawsze że jego dziecko wkrótce znajdzie męża, którego zniewoli pełnia jéj serca i ducha, bogate uposażenie z natury i głębokie na świat poglądy. I Ludwika z całą szczerością wyznawała że chętnie poszłaby za mąż, ale rok po roku uchodził a nic nie zapowiadało, aby to się miało urzeczywistnić. Z początku była na stopie przyjacielskiéj z najintelligentniejszą młodzieżą kraju, potem niby żartując coraz bardziéj na serio mówiła że tylko żonaci wydawali jéj się przyjemnymi i godnymi szacunku, kawalerzy zaś byli albo trzpiotami albo śmiesznie sentymentalnymi, szczególniéj posądzani o spekulatorskie względem znacznego jéj posagu zamysły.

W lecie odebrano list od Marji która donosiła im o śmierci ojca i o swojem teraz osamotnieniu. Ludwika życzyła sobie aby Marję sprowadzić do domu, ale ojciec, który dotąd każde jéj spełniał życzenie, oparł się temu stanowczo. Utrzymywał, że Ludwika połączywszy się z przyjaciołką nie zapragnie w samoistne wejść życie, a on pragnął aby koniecznа w tym razie tęsknota popchnęła ją do założenia własnego ogniska. Tajemnie jednak miał do Marji niechęć, szczególniejszym sposobem, z przytłumionéj skłonności powstałą. Marja też wkrótce napisała oznajmiając, że zdecydowała się podróżować z jakąś już nie młodą damą.

Pan Merz który codzień więcéj oddawał się politycznemu życiu, i który uważał niezależność pozycji za konieczny warunek do należytego służenia państwu, sprzedał swoją fabrykę. Chciał odtąd żyć w stolicy, ale na usilne prośby Ludwiki udał się do dóbr które w górach posiadał. Zaraz jednak tego roku w którym się całkowicie od wszelkich zajęć uwolnił, nie został obrany posłem. Przemógłszy pierwszy ból tego zawodu, pocieszył się tem że było tak wiele innych prawych ludzi, którzy równie gorliwie będą się starać o dobro ojczyzny. Często powtarzał: trzeba pójść na zawołanie, ale gdy nas nie wzywają trzeba odczekać spokojnie, aż znów nasz czas nadejdzie.

W tym czasie nastąpiły różne zmiany. Pan Merz też czuł się szczęśliwym, że mógł w spokojnéj arce przeczekać potop, którym obecny chaos zdawał się zagrażać. Gołębiami, które mu nowinki o zewnętrznym stanie wód przynosiły, były dzienniki. Czytał z zapałem sprawozdania z posiedzeń izb, układał w głowie trafne i nie bez wartości oratorskiéj odpowiedzi, których na nieszczęście już dziś użyć nie mógł. Poświęcał się interesom gminy ale to mu nie wystarczało: czuł próżnię i jeszcze, tylko zamężcie Ludwiki mogło mu dać szczęście w życiu. Ale ta przeszedłszy już ćwierć wieku oświadczyła stanowczo, że nieodwołalnie skończyła z życiem i odtąd chciała się wyłącznie oddać swemu talentowi.

Marja wróciła też z kilkoletniéj podróży i mieszkała z ową panią w jednem z miast fortecznych. Przybywszy na wieś do pana Merz, gdy się znalazła z nim samą, a spostrzegła jego pomięszanie i jakiś przymus zawołała wesoło.

—„A, panie Merz, czemuż się pan nie ożeniłeś ze mną kilka lat temu? Teraz już za późno, jestem zaręczoną.“

— Czy można wiedzieć z kim? spytał p. Merz.

„Nie, o tem pan się nie dowiesz.“

Od owych pierwszych odwiedzin nie widziano się jeszcze. Teraz zaproszono Marję aby kilka dni u nich zabawiła nim pan Merz z córką do Włoch wyjedzie.

ROZDZIAŁ III.

NA WŁASNYM GRUNCIE.

Szybko potoczył się powóz z dwiema pannami.

— Jakże szczęśliwa jesteś że taki powóz możesz nazwać swoim własnym! zawołała Marja. Niepodobna uwierzyć, żeby z własnego powozu można tak czarno na świat spoglądać.

Ludwika znała sprzeczność usposobienia przyjaciołki z jéj dochodami i przyzwyczaiła się do tego, że Marja żartami okraszała smutne i zależne swoje życie. Marja przeczuwała widać myśli przyjaciołki bo oświadczyła, że życie jest czczą farsą i że najlepiéj wychodzi ten, który wmięszawszy się w grono aktorów śmiało do gry téj przystępuje. Następnie opowiadała niezmiernie humorystycznie swoje przygody podróżne.

Ludwika zwróciła rozmowę na inny przedmiot pytała, jak się jéj powodzi u owéj pani, u któréj była za towarzyszkę?

— „Ach! zawołała Marja skarży się zawsze przedemną na wszystkie moje poprzedniczki, a przed innemi uskarża się pewno na mnie. Zacna kobieta chciałaby być bardzo kochaną, a przytem płacić jak najmniéj. Miotełka i opylaczka skrzyżowane powinny jéj herb stanowić, bo czyszczenie i okurzanie są jedynymi a ukochanymi celami jéj życia. Codziennie wieczorem musi jéj służąca podrzeć starą gazetę na drobne kawałki, które następnie rozsypuje po wszystkich kątach pokoju, aby być pewną, że wszędzie, było zamiatane.“

— Jednak musisz być szczęśliwą że masz własną pozycję wtrąciła Ludwika.

— „Pozycję? powtórzyła Marja—odpowiem ci na to jak Rückert. Gdybym miał oto sto tysięcy talarów dochodu, ani razu nie siadłbym za waszym stołem. Pozycję! nie powtarzaj więcéj tego wyrazu. Gdybym była bogatą zaślubiłabym człowieka, któryby mi się podobał a innym pozostawiłabym dorabianie się pozycji.“

Marja mówiła poważnie, miało to brzmieć jako przestroga dla przyjaciołki, aby tak uparcie nie odpychała wszystkich konkurentów.

Ludwika odparła że skończyła już z życiem.

— Skończyłaś? zaśmiała się Marja, czemu nie powiesz: „pokonałam, przełamałam życie. O rok jesteś młodszą ode mnie. O! gdyby tak kto przyszedł coby cię poskromił.

— Poskromił? Alboż jestem dziką!

— Nie, nie bierz mi tego za złe, przeciwnie, jesteś zanadto swojską, zanadto ukształconą!

— Zanadto ukształconą?

— Tak, za wiele widziałaś, za wiele myślałaś. W każdym natychmiast dojrzysz jego słabą stronę a przytem ta myśl trapi cię jeszcze: że każdy dla ciebie życzliwszy, nie o ciebie się stara, ale o twój majątek. Jak tylko ci się który pokaże, rozpoczynają się w twéj głowie parlamentarne rozwagi. Jesteś przecie córką parlamentu!

— Dobrze! Wypowiedziałaś już wszystko odtąd proszę cię nie mówmy o tem więcéj.

Ludwika wyrzekła to stanowczo i czas jakiś jechano w milczeniu. Zbliżono się wreszcie do zabudowań gospodarskich, które tylko małą przestrzenią od domu mieszkalnego były oddzielone. Psy podwórzowe zaczęły szczekać, poczuwszy w powozie towyrzysza w małym wyżełku, który jak jego pani, był gotów do szybkiéj odpowiedzi. Ale Marja nie pozwoliła mu ubiegać się o ostatnie słowo w tym psim djalogu; posłuszny w prędce umilkł i uspokoił się. Powóz zajechał przed schody dworu, pan Merz wyszedł na powitanie Marji. Na twarz jego starannie wygoloną wystąpił lekki rumieniec; jeszcze do dziś dnia widać pamiętał, że miał dla przyjaciołki swéj córki, chwilową choć poskromioną skłonność. Przybyła natychmiast zwróciła się swobodnie z jakimś żartem do pana Merz, a ten odpowiedział jéj przyjaźnie.

Zaprowadzono Marję do jéj pokoju, wkrótce jednak powróciła i zaczęła z panem Merz przechadzkę wkoło domu. Widząc kończące się jeszcze przybudowanie, z wielkiem o jednéj szybie oknem zapytała, coby to było? Pan Merz odpowiedział, że to była pracownia Ludwiki, która odtąd zapragnęła jedynie poświęcić się talentowi. Pracownia miała stanąć przed ich z Włoch powrotem.

— Bardzo źle pan zrobiłeś! odezwała się Marja i wytłomaczyła panu Merz że nie powinien był pozwalać Ludwice ani na podróż artystyczną, ani na poświęcanie się malarstwu, ze względu na jéj chęć zupełnego zerwania z życiem. Teraz każdy starający się o jéj rękę będzie miał jedną trudność więcéj do przełamania, jedno więcéj współzawodnictwo.

— Podług mnie, rzekła, Ludwika powinna iść za mąż. A gdybym nawet miała zakląć dla niéj jakiego rycerza ze staréj legendy, to musi pójść za mąż. Zerwać z życiem! Czy kto słyszał co podobnego z ust pięknéj, bogatéj dziewczyny, choćby nawet miała lat dwadzieścia sześć? Czy dajesz mi pan pełnomocnictwo do rozpoczęcia tego co sobie zamierzyłam?

— A jeżeli nie dam go pani?

— Wtenczas będę się widziała bez niego obejść zmuszoną, ale lepiéj że o tem powiedziałam. Te kilka dni do mnie należą i będę umiała ich użyć, zawołała patetycznie.

Ludwika węszła, a ojciec oddalił się zaraz. Obie panny poszły w stronę parku. Nagle zatrzymała się Marja mówiąc: Chciałabym widzieć jak to się chodzi na własnym gruncie, po własnéj ziemi. A więc to tak się stąpa?

Podniosła cokolwiek suknię z pod któréj wyjrzała drobna nóżka obuta w brązowy bucik i postawiła ją mocno na ziemi. Potem z prawdziwym zapałem zaczęła malować, jak szczęśliwymi są ci, którzy choć kawałek ziemi mogą nazwać swoją własnością, swoją ojcowizną. Ludwika jéj nie przerywała gdyż miała szczere współczucie dla swéj przyjaciołki, wyszłéj z wyższych warstw społeczeństwa, a dziś zmuszonéj do chleba służebności, która daremnie otacza się niezależności płaszczem. Odrzekła wreszcie, że Marja jest jeszcze bogatą, bo posiada nieprzebrane skarby dobrego humoru.

— Nie wyzywaj go! zawołała Marja smutnie. Kiedy się coś podobnego przyzywa, to pewnie znika nam zupełnie.

Obie przyjaciołki zaszły w gęstwinę. Ludwika zatrzymała się i spytała swéj towarzyszki, czyby jéj nie chciała objaśnić tego, o czem w jednym ze swych listów wspominała pobieżnie, że w czasie swoich podróży znalazła serce.

— Jeszcze nie teraz, szybko odparła Marja, ale nie długo będę mogła ci to powiedzieć. Proszę cię nie pytaj o więcéj. Skoro czas nadejdzie wytłomaczę ci wszystko i o pomoc poproszę.

Zaczęły rozmawiać o zamierzonéj do Włoch podróży, a Ludwika ubolewała, że Marja nie mogła im towarzyszyć. Z niéj byłaby tak dobra przewodniczka, znała już tak dobrze miejscowość.

Marja wiedziała a Ludwika przeczuwała powód dla którego ojciec nigdy nie odmawiający żadnemu jéj życzeniu, opierał się temu stanowczo, aby Marja z nimi jechała. Milcząc zwróciły przez park i ogród ku domowi.

Babka, która dzień przedtem była cierpiącą wcześnie miała zamiar udać się na spoczynek.

Po kolacji rozpoczęła Marja z panem Merz partję szachów. Była wyborna szachistką, partja trwała długo, babka z Ludwiką już wyszły, Marja tylko pozostała z panem Merzem.

Ale jak tylko zostali sami, Marja porozrzucała figury na szachownicy i oświadczyła, że musi raz jeszcze z nim o Ludwice pomówić. Prosiła żeby jéj wymienił młodzież okoliczną, która na jutro była zaproszoną, a szczególniéj tych, którzy się starali o Ludwikę i którychby sobie ojciec najwięcéj życzył. Sądziła że pochwały przyjaciołki mogą się na co przydać i miała nadzieję, że jéj się uda skłonić Ludwikę do małżeństwa. Ojciec wymienił kilku, między niemi najpożądańszymi dla niego byli: obywatel z okolicy i młody urzędnik z poblizkiego miasta. Ludwice jednak obaj ci konkurenci byli obojętnymi.

Marja mimo to nie traciła nadziei.

ROZDZIAŁ IV.

PRZEGLĄD.

Następnego dnia, w pogodne jasne południe, zaczęły się zjeżdżać powozy i jeźdźcy z okolicy. Marji udało się tego dokazać, że Ludwika staranniéj już uczesała włosy i ulubiony swój kolor, elegijno szary, jak go Marja nazywała, zdjąwszy, ubrała się w jasne suknie. Sąsiedzi i sąsiadki przy powitaniu patrzyli na nią z podziwem. Marję to bardzo cieszyło, bo widziała że Ludwika młodziéj i korzystniéj wygląda.

Gdy Marji przedstawiono sąsiedniego obywatela i młodego urzędnika, skłoniła im się, przeciw zwyczajowi jednak nie spuściła oczu, ale przyglądała się im pilnie i uznała, że sądząc z powierzchowności, wybór był trudnym.

Człowiek, największem w tem kole cieszący się poważaniem, był kolegą ojca Marji, co ją postawiło bardzo wysoko w oczach całego towarzystwa. Otoczyli ją wszyscy, a Ludwika robiła co mogła, aby ją uczynić środkowym punktem dzisiejszéj uroczystości.

Młody urzędnik, który natychmiast pojął jak przeważnym był wpływ Marji na Ludwikę, okazywał się nadzwyczaj względem niéj uprzedzającym. Udało mu się towarzyszyć jéj w czasie przechadzki po ogrodzie. W ciągu rozmowy powiedział od niechcenia, że był oficerem landweru, przeczuł że to łaskawiéj dla niego usposobi Marję.

To też jego słuchaczka uznała, że młody człowiek ma bardzo uprzejmy układ, ale — czy to było prawdziwe czy udane? Miał minę zakochanego, nie był dość śmiałym i pewnym siebie, a ten, kto chciał zdobyć rękę Ludwiki, powinien był przedewszystkiem postarać się o to, aby ona go zapragnęła. Nie wróżyła mu też powodzenia.

Młody urzędnik nietylko wyuczył się terminologji malarskiéj, wiedział co znaczy układ, co tło przednie, ale nawet zaczął rozprawiać z zapałem o szczęściu artystycznego poglądu, o tem jak dzisiejszy rozwój malarstwa krajobrazowego kierunkowi naszych czasów odpowiadał. Wskazał na grupę drzew i uniósł się znów pochwalnym hymnem dla tych szczęśliwych, którym dano jest odtwarzać na płótnie to światło i to powietrze. Wszystko to wypowiedział jak mówimy pod adresem Marji, w nadziei że dojdzie do jéj przyjaciołki. Marja uśmiechnęła się:

— Z tym już skończyłam pomyślała. Zobaczmyż teraz czem jest ten poważny obywatel!

Obywatel dotrzymywał towarzystwo panu Merz.

— Wcale nie zły sposób," pomyślała Marja. Zapewne musi mieć wiele szacunku dla tego człowieka bo też to dobrze oddziaływa na Ludwikę, gdyż serdecznie kocha ojca i każdy co tę miłość podziela, wiele już u niéj zyskuje.

Wprost przeciwnie niż młody urzędnik zapatrywał się obywatel na Marję. Ten uważał ją za przeszkodę; był to człowiek poważny, przeważnie oddany polityce. Taka istota jak Marja, którą poznał bardzo prędko, mogła nakłonić umysł przyjaciołki do wszystkiego co lekkie i płoche. Zdawał się nawet dopatrywać w stosunku Ludwiki do Marji, pewny rodzaj przymusu, dla tego też nie chciał stanąć po jéj stronie. Nawet gdy go Ludwika zapytała, jak mu się Marja podoba? odpowiedział.

— Zupełnie tak samo jak pani. Sądzę że czas panią dopiero oswoił z jéj roztrzepaniem i wybrykami.

Ludwika starała się sprostować jego zdanie ale czyniła to w sposób, który pozwolił mu sądzić że się nie myli. Po raz pierwszy też przyszedł do przekonania, że nadzieje jego były uzasadnione.

Przy stole rozmowa szła wesoło. Poważny wiekiem pan von Beuthen, który prowadził Marję do stołu, miał pierwszeństwo wyłącznego oddania się na jéj usługi.

Mówiono o podróży do Włoch, którą pan Merz i jego córka przedsiębrali, a pan Beuthen zawołał:

— Popełniłeś wielką nieroztropność. Na co też postawiłeś dla naszéj kochanéj Ludwiki pracownię? Pokój dziecinny byłby o wiele stosowniejszym.

Śmiech ogólny zawtórował tym słowom. Oczy Marji obiegły całe towarzystwo i dostrzegła, że młody urzędnik zaczerwienił się; obywatel śmiał się wraz z innymi.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na Ludwikę, siedzącą spokojnie jakby ten żart nie do niéj był skierowany. Wreszcie spokojnie i zimno odparła, czuła bowiem że musiała coś odpowiedzieć.

— Cieszę się że dałam panu Beuthen powód do tak wesołego żartu. I prowadziła daléj nadzwyczaj

ożywioną ze swoim sąsiadem rozmowę, tak że aż jego żona, przy której siedział młody urzędnik, coraz mocniejszym zaczęła się oblewać rumieńcem, a probowanie rozmaitych mocnych win, które jéj podawał sąsiad, nie przyczyniało się do zmniejszenia tego rumieńca.

Wreszcie wstano od stołu, starsi panowie zapaliwszy cygara pozostali na tarasie, wśród ciszy słychać było głos pana Beuthen jak mówił donośnie:

— To prawdziwy wstyd dla całéj młodzieży, że Ludwika nie poszła za mąż.

Młodsza część towarzystwa zabawiała się w ogrodzie. Ludwika przez chwilę jeszcze rozmawiała żywo z owym panem, który był u stołu jéj sąsiadem i Marja musiała się przyłączyć do koła młodzieży.

Młodzi i starzy pomięszali się wkrótce, a wesołość ogólna panowała aż do wieczora to jest do chwili odjazdu gości.

Kiedy Ludwika została sama z przyjaciołką, odezwała się a twarz jéj zapłonęła.

— Marjo, to jest okropne, tego nie pojmuję. Przecież jestem....

— Cóż jesteś?

— Nie, lepiéj że nie powiem!

— I mnie nawet? Mówże!

— Tam było tylu zacnych, rozumnych i przyjemnych ludzi, tu wymieniła kilku, ale ci którzy budzą we mnie jakiekolwiek zajęcie, którzy mi się zdają rozumnymi i przyjemnymi, są.....

— Żonatymi, dokończyła Marja.

— Tak, potwierdziła Ludwika, i ukryła twarz w dłoniach, powiedz mi dlaczego mi się tylko tacy podobają? Dla czego z nimi tylko mogę być swobodną?

— I tego nie wiesz? Ty, córko parlamentu? Przecież to jasno. Bo z takim tylko możesz być swobodną i oni także z tobą nie są niczem skrępowani: nieżonatych zaś posądzasz zaraz o plany względem ciebie, lub co gorsza, względem twego majątku.

— O! to prawda, to prawda!

Długo szły obok siebie w milczeniu, nagle wystąpił na twarz Marji jakiś filuterny zwycięzki wyraz, i pociągnąwszy Ludwikę ku sobie zawołała:

— Teraz siądź tu przy mnie, opowiem ci moją tajemnicę.

Pochwyciła rękę Ludwiki, głos jéj drżał jakoś dziwnie; Ludwika wzięła to za skutek głębokiego wzruszenia, było to przecież co innego. Marja opowiedziała z częstemi przestankami, co nie było bynajmniéj jéj zwyczajem, gdyż jak wiemy miała prawdziwy dar wymowy, że zaręczyła się tajemnie z rotmistrzem von Brikenstock, stojącym w poblizkiéj fortecy, z którym choć to był jéj kuzyn, znali się jednak bardzo mało. Życzyła więc sobie, celem poznania go bliżéj, aby pan Merz zechciał go zaprosić do siebie na czas jakiś. Potem powiedziała że pan Birkenstock ma zamiar wystąpić z wojska, aby objąć wiejskie gospodarstwo.

Ludwika przyrzekła to uskutecznić, Marja udała się do swego pokoju a w chwilę potem przyjaciołka przyniosła jéj pismo ojca z zaproszeniem. Marja długo w noc pisała list, który posłaniec późno już odniósł na dworzec.

ROZDZIAŁ V.

POSUNIĘCIE NA SZACHOWNICY.

Ludwika chciała nazajutrz wieczorem, towarzyszyć przyjaciołce, która jechała na dworzec naprzeciw rotmistrza. Ludwika nazwała go narzeczonym, jéj przyjaciołka chciała wykreślić tę nazwę, wiedząc jednak że Ludwika przy niéj obstaje, zgodziła się wreszcie. Marja sama pojechała na dworzec, nie pozostała jednak jak wówczas jéj przyjaciółka w powozie, ale przebiegała niespokojnie wystawę, co chwila spoglądając na zegarek.

Nareszcie dał się słyszeć świst pociągu, młody człowiek ukłonił się z wagonu. Twarz jego świeża w połączeniu z potężnym, o śpiczastych końcach wąsem była niezmiernie wybitną i uderzającą. Wysiadł, miał na sobie jasne eleganckie cywilne ubranie, na pierwszy jednak rzut oka poznałbyś w nim żołnierza. Szybko i zręcznie powitał Marję, wołając wesoło:

— „Nie będziesz wzywała ducha huzarów nadaremnie. Otóż jestem! posłuszny twemu tajemniczemu wezwaniu, mam dostateczny urlop. Teraz mów gdzie jest przygoda? gdzie ten potwór, ten smok?”

Marja prosiła go żeby o nic teraz nie pytał, a szczególniéj aby innym mówił językiem. Poszli do powozu usiedli a rotmistrz rzekł:

— Przecież mi oczu nie zawiążesz.

Marja roześmiała się a potem przybyły zapytał, czy jako tegoczesnemu rycerzowi pozwoli zapalić cygaro.

— Co byś powiedział na to, rozpoczęła wreszcie Marja, gdyby ten powóz, te konie, do tego jeszcze piękne dobra i kilka tysięcy talarów gotówki w ogniotrwałéj kasie, zostały twoją własnością?

— Z żoną czy bez żony?

— Z żoną.

— Z tobą?

— Nie żartuj!

Marja westchnęła ciężko: a więc wszyscy miewamy jakieś skrupuły. Czemu mnie tak nagle ogarnęła trwoga?

— Trwoga? Czyż i w twoim słowniku jest ten wyraz?

— Masz słuszność! Przecież intryga, którą mamy przedsiewziąść oboje, jest potrzebną, piękną, a nawet moralną.

— A więc czekam, gotów na wszystko jak bohater legendy, zbrojny w cnotę milczącego i ślepego posłuszeństwa. Będę słuchał twéj wyroczni tak cierpliwie jak Tamino w zaczarowanym flecie.

— Wkrótce dowiesz się wszystkiego; czy pamiętasz jeszcze Ludwikę Merz?

— Któżby ją mógł zapomnieć! Czy to ją mam zaślubić?

— Tak.

— Więc jestem gotów. Każ uderzyć w dzwony! Jestem pełnoletnim.... mamy wiosnę.... a i świeże rękawiczki zabrałem z sobą....

— Kuzynie, to na serio?

— A więc żyjem we śnie. Czy i ona mnie pamięta kiedy z nią tańczyłem u ministra? Czyżby i ojciec o mnie nie zapomniał? Ma on jeden znakomity przymiot, oto pali wyborne cygara.

— Albrechcie, nie żartuj sobie z tego zacnego człowieka. Już dla tego samego aby pozyskać Ludwikę, szanować go powinieneś.

— Jestem gotów na poczekaniu uznać go arcy szanownym.

— Powiedz mi jednak przedewszystkiem Albrechcie, czy ożeniłbyś się z Ludwiką, gdyby nic nie miała?

— Nie! ani bym o tem pomyślał.

— To przynajmniej uczciwie że się przyznajesz.

— Proszę cię kochana kuzynko, pozwól mi zdanie dokończyć. Nie mógłbym się z nią ożenić gdyby była ubogą, ale gdyby ona była ubogą a ja bogatym, wtedy.......

— Wtedy byś się z nią ożenił?

— Nie, wtedy ożeniłbym się z tobą.

Marja zarumieniła się, zakazała jednak kuzynowi wszelkich tym podobnych żartów, gdyż nie zdałyby się na nic w wyprawie, do któréj go wezwała, ponieważ przez pewien czas miał uchodzić za jéj narzeczonego. Ludwika tego wymagała.

— Nic nie rozumiem, zaśmiał się rotmistrz.

— Już to na małą na oczy przepaskę, musi zezwolić pan rotmistrz, odrzekła Marja.

Dobry humor jéj wrócił, opowiedziała więc Albrechtowi że Ludwika nie może być swobodną z żadnym mężczyzną, o którym z góry nie wie że jest już słowem związany. Względem żonatych i zaręczonych okazuje się w całym blasku swéj pięknéj natury i takich też tylko sądzi bezstronnie, przyznając im wszystkie przymioty. Dlatego to kuzynek rotmistrz winien czas jakiś uchodzić za jéj narzeczonego.

— Ależ Marjo, to gra niebezpieczna, wiem że jesteś dla mnie......

— Proszę cię daj pokój. Wiesz przecie....

— Prawda, prawda, odezwał się rotmistrz robiąc w powietrzu poruszenie podobne do pociągnięcia pędzlem. Marja drgnęła, cofnęła się w głąb powozu i oparła na poduszkach; szybko się jednak podniosła i wesołym tonem prowadziła rozpoczętą rozmowę.

— Nie będę pedantką! Pozwalam ci na niektóre grzeczności, do których już jako kuzyn, masz prawo.

— A więc przedewszystkiem proszę cię — pozwól mi się pocałować.

— Wstydź się! Przeżartujesz twoje szczęście. Kiedy już muszę zrobić jakie ustępstwo to pozwalam ci pocałować moją rękę.

— Proszę cię, zdejm rękawiczkę!

— Nie. A potem jeszcze jedno, bądź grzeczniejszym dla mego wyżełka. Jeżeli już koniecznie zachce ci się jakich czułości, to pozwalam ci przenieść je na niego. Czy grasz w szachy?

— Sława moja na tem polu, jest wielką! Któżby zniósł męczarnie warty bez cygara i szachów!

— I umiesz rysować?

— Nie obrażajże szkoły kadetów!

— Umiesz więc zdejmować pejzaże i mówić o układzie, rysunku, perspektywie?

— Pani! Zechciéj uważać melodyjny koloryt tych liści, ten rytm w odcieniach, tę symfonję rysunku....

— No dobrze, dobrze!

— Nie, tak nie można, rzekł rotmistrz poważnie: sami siebie ośmieszymy a z niéj zrobimy sobie nieprzyjaciołkę. Czyżby nam surowa w swych zasadach Ludwika, darowała kiedykolwiek żeśmy z nią taką grali komedję?

— Tak? Więc to odwaga huzarów więdnie przed podmuchem pierwszéj przygody? Nie bój się, po kilku dniach poróżnimy się i wyda się że Ludwika mimowolnie tak cię oczarowała. Wtedy ja cię pożegnam a ty mi podziękujesz. Pozwalam ci nawet na kolanach złożyć podziękowanie. Zaśpiewasz mi hymn pochwalny i wyznasz, że Ludwikę, jakże to się mówi?— szalenie, gorąco, tytanicznie kochasz. I wierzaj mi że nie będziesz potrzebował kłamać, bo w istocie tak będzie.

d. c. n.

kowa rogówka, jako kapturek.
N. 1—2. Chusteczka włócz-

Materjał: 4 i pół łuta cieniutkiéj wełny czarnéj, 2 drewniane druty średniéj grubości.

Rycina 2 przedstawia trójgraniastą na drutach odrobioną chusteczkę, zabezpieczającą od chłodu, skrzyżowaną na piersiach i związaną w tyle. Ryc. 1 podaje ją ułożoną jak kaptur na głowie. Robota na dosyć grubych drutach jest prosta i szybka, bez deseniu zwyczajnie przerabiane oczka jak u ściągaczki. Zaczyna się od 3 oczek rogu i odrabia 380—400 razy, przybierając zawsze po pierwszem podniesionem oczku aż do ostatniego rzędu, który dla utworzenia ukośnego brzegu rogówki obłańcuszkować należy. Koronka tiulowa 12 cent. szeroka nadmarszczona lekko, uzupełnia całość, można ją zastąpić inną, odrobioną na drutach z włóczki lub siatkową.



N. 1 i 2. Chusteczka włóczkowa rogówka jako kapturek.

N. 3. Ubranie wiejskie do ogrodu.

Kostium pikowy biały, ubrany materjałem écru, odpowiada zupełnie perkalowemu białemu kapeluszowi, z garnirunkiem „écru.“ Wykład stanika, pliski i falbany rękawów, wymagają plisowanego białego muślinu i koronki „écru.“ Spódnica kliniasta „robe princesse“ naszywa się u dołu jedną szeroką i kilku wązkiemi pliskami. Kapelusz na sztywnym fasonie zrobiony jest z podwójnego perkalowego owalu 26 c. długiego, a 22 c. szerokiego. Na rondko bierze się 112 c. długi, a 14 — 16 c. szeroki pas perkalowy, zszyty, złożony we dwoje. Trzy skręcane, wszyte w rondko druciki, nadają mu sztywność. Drut przy saméj główce ma 44 c. długości, drugi 65 c. a trzeci 77 c. Tak przygotowane rondko przyszywa się do główki, kilkoma fałdkami zwężonéj. Woreczek 6 c. szeroki wszyty w środku, pokrywa przyszycie. Z wierzchu daje się trzy w ząbki wycinane 4 cent. szerokie riusze. Barbka z materjału „écru“ w duże fałdy złożona, 6 cent. szer. z obu stron koronką „écru“ oszyta, opasuje główkę wkoło. Do kostiumów podróżnych używają kapeluszy z materjału sukni.

N. 4. Ubranie podróżne.

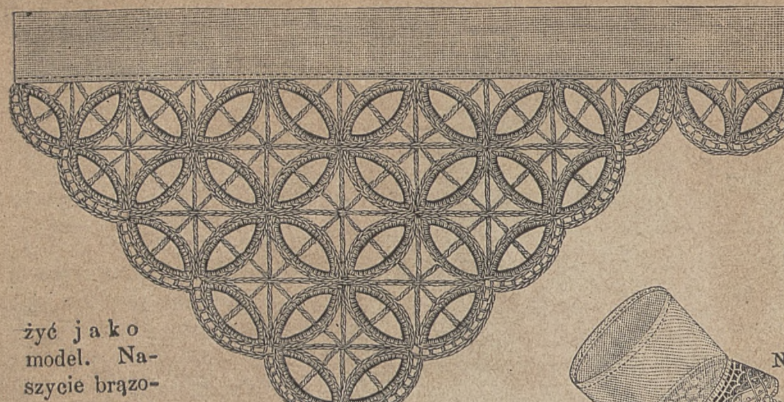
Kostium ten, obejmujący suknię, torbę i parasolik z kijem jak laskę do opierania składa się z batystu „écru“ w trzech cieniach. Najciemniejszą spódnicę ozdabiają jaśniejsze, 6 cent. szerokie pliski, 4 razy naszyte. Na wierzch konieczne okrycie „vettement,“ paskiem przepasane na gładkim staniku otwarte z przodu, daje się albo z dwóch jaśniejszych cieni albo jasne z ciemnem naszyciem. Krój do ryc. 16 — 17 w N. 18 Tygodnika Mód, może posłu-



N. 3. Ubranie wiejskie do ogrodu. Zobacz koszyczek ryc. 8 w Tyg. Mód N. 26.



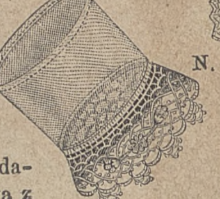
N. 4 Ubranie podróżne z bluzą. Zobacz kapelusz ryc. 15 i 16 w Tyg. Mód N. 26.







N. 8. Kołnierzyk z gipiury siatkowéj. Zobacz ryc. 10 i 11.

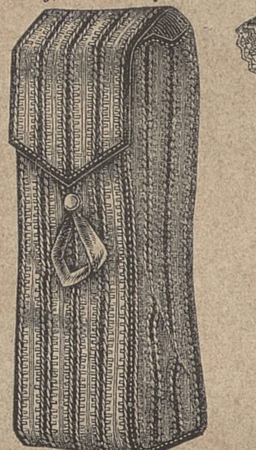


N. 5. Kołnierzyk stojący z wykładanemi rogami. Robota szydełkowa z nici N. 100 i 200.



N. 9. Mankiet do ryc. 8.

N. 6. Kołnierzyk stojący z wykładanemi rogami. Gipiura szydełkowa.



N. 12. Torebka pikowa na szczotki do czyszczenia garderoby. Zobacz ry 13.

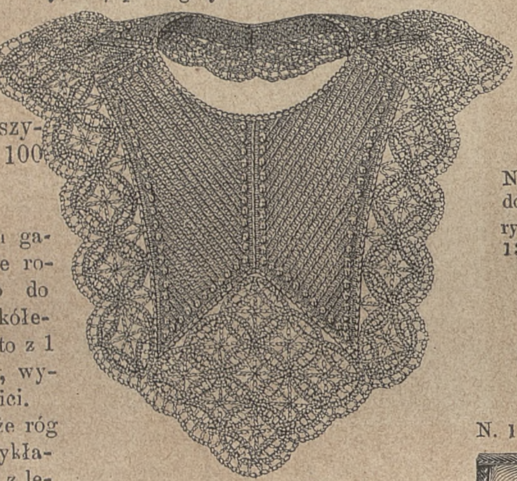
N. 7. Mankiet do ryc. 6.

żyć jako model. Naszycie brązowe wymaga pliski szerokiéj środkowego cieniu. Frendzla kręcona zakończa szeroki kokardą przybrany rękaw, podług fasonu ryc. 6 w N. 19 Tyg. Mód, przyrządzony. Do paska przyczepiona torba, ze skóry lub materjału wełnianego w kolorze sukni odpowiedni parasolik z kijem, długie rękawiczki szwedzkie i kapelusz z szyszek, podług ryc. 15—16 w N. 26 Tyg. Mód zrobiony, dopełniają całości.

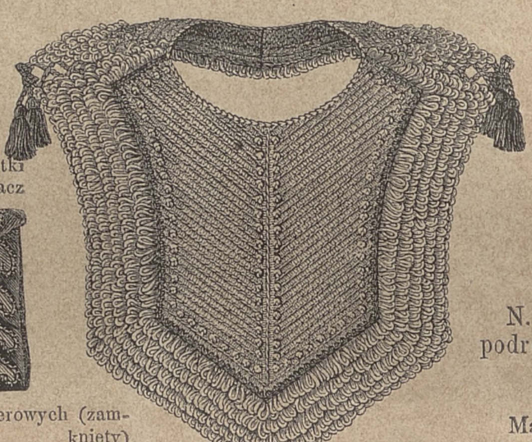
N. 5. Kołnierzyk szydełkowy z nici N. 100 i 200.

Mięszanie dwóch gatunków nici, nadaje robocie podobieństwo do koronki. Podłużne kółeczka obrobione gęsto z 1 słupkiem w środku, wymagają grubszych nici.

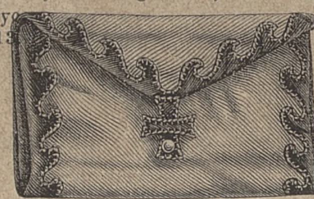
Dodać wypada że róg przeznaczony do wykładania powinien być z lewéj strony do prawego paska przyszyty. Szydełkowy pasek przyszyty do płóciennego mankieta, powinien być prosty.



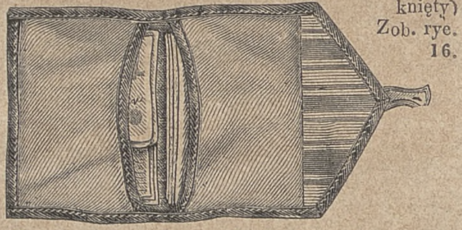
N. 17. Napierśnik szydełkową robotą.



N. 18. Napierśnik robotą szydełkową i na drutach.

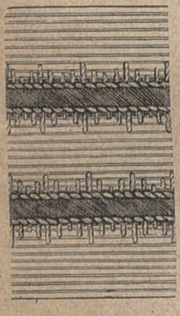


N. 14. Pugilares do pieniędzy papierowych (zamknięty) Zob. ryc. 16.



N. 15. Pugilares do pieniędzy papierowych. Otwarty. Zobacz desenik ryc. 16.

N. 6—7. Kołnierzyk i mankiet z gipiury szydełkowéj.



N. 13. Wzór naszycia torebki do szczotek. Do ryc. 12.

W naturalnéj wielkości przedstawiony narożnik kołnierzyka gipiurowego, składa się z powietrznych ząbków pikotami ozdobionych z podobną koroneczką. Co do matowych kwiatków, dodać winniśmy że listki karbowane, jeden na drugim złożone, należy przydziergać i skręconemi pikotami przyozdobić. Rękawek muślinowy wszyty w 22 c. szer. pasek z 4 c. szer. szydełkowym mankietem, przedstawiony na ryc. 7.

N. 8—11. Stojący kołnierzyk z wyłożonemi narożnikami z siatkowéj gipiury.

Ryc. 10 i 11. Przedstawia dwa deseniki, na różki kołnierzyka z siatkowéj gipiury, do których dodać trzeba prosty, równy pasek. Ryc. 9 podaje odpowiedni mankiet. Na powyższe narożniki odrabia się kwadrat siatkowy, który po wyszyciu rozcina się ukośnie, formując dwa równe trójkąty wkoło których dają się dziergane ząbeczki. Paski stojące, jako dopełnienie narożników, robią się osobno i potem dopiero przyszywają pod rożkami.

N. 12—13. Torebka na szczotki.

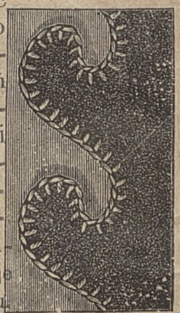
Materjał. Popielata pika lub dymka, popielate płótno, czarna wstążeczka 3/4 c. szer., pąsowy kordonek.

Podawszy niedawno torbę na trzewiki, uzupełniając przybory podróżne, dajemy takąż torbę na szczotki do sukien, które łatwiéj odszukać razem zebrane. Czarna wstążeczka przydziergana pąsowym jedwabiem, stanowi rodzaj desenıku przedstawiony na ryc. 13. Długość i szerokość torby tak obliczyć trzeba na wielkość szczotek żeby klapa zakładała się na wierzch, boki wstawione zszywają się z wierzchu i obejmują wstążeczką. Guzik i gumowa pętelka spinają torbę.

N. 14—16. Pugilares podróżny na pieniądze papierowe.

Materjał: Drelich, płótno „écru,“ czarna wstążeczka 3 cent. szeroka, zielony kordonek.

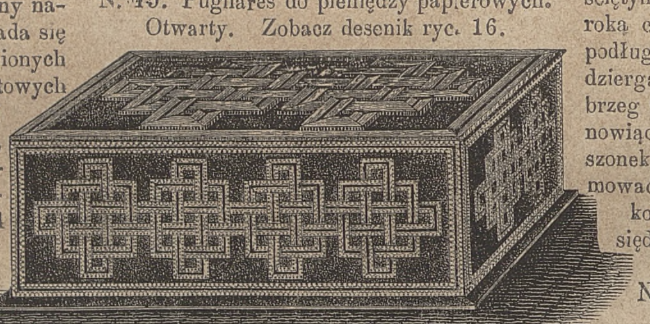
Pugilares powyższy bardzo praktyczny do podróży ma dwie kieszonki, przyszyte na drelichowéj podszewce. Pugilares ten przyrządzić trzeba z podwójnego drelichu, lub amerykańskiéj skóry i płótna. Całość 27 cent. długa, 16 cent. szeroka, z ukośno ściętym wykładem, naszywa się 3 cent. szeroką czarną wstążeczką wycinaną w deseń podług ryc. 16 (wielkość naturalna) i przydzierganą zielonym kordonkiem. Drugi brzeg wstążeczki, zakłada się pod spód, stanowiąc lamówkę przyszytych z wierzchu kieszonek, które u górnego brzegu także oblamować trzeba. Krzyżyk ze wstążeczki, jako zapinka, drelichem podszyty, opatruje siędziurką, zapinaną na guzik pugilaresu.



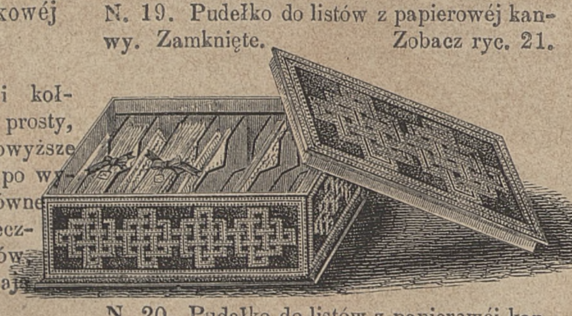
N. 16. Deseń do przyozdobienia torebki do pieniędzy ryc. 14 i 15.

N. 17—18. Dwa szydełkowe napierśniki.

Oba napierśniki mają zupełnie prostą formę, którą w następnych numerach przy bieliźnie dziecinnéj nieomieszkamy dołączyć. Rycina 17 ma ściegiem tunetańskim odrobioną główną część napierśnika, przezroczystemi szydełkowemi kwadratami w rodzaju koronki oszytych. Napierśnik ryc. 18 ma w miejsce koronki, rodzaj pętelkowego baranka. Scieg tunetański, jakiego używają do dziecinnych bucików, wszyscy prawie znają. Na napierśnik ryc. 17 odrabia się z N. 5 bawełny 59 podstawowych oczek. Po pierwszym tunetańskim ściegiem odrobionym rzędzie, w drugim rzędzie postępując w górę, trzeba przed i po środkowem oczku, przybrać po jednym oczku idąc z powrotem czyli na dół, każde 4 pow. oczka, po 2 jednem



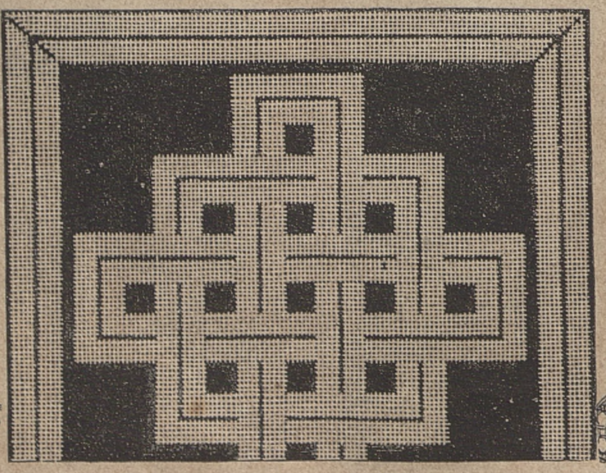
N. 19. Pudełko do listów z papierowéj kanwy. Zamknięte. Zobacz ryc. 21.



N. 20. Pudełko do listów z papierowéj kanwy. Otwarte. Zobacz ryc. 21.



N. 10. Narożnik wykładany z gipiury siatkowéj do kołnierzyka i mankieta ryc. 8 i 9.



N. 21. Deseń wycinanéj kanwy do pudełka na listy. Zobacz ryc. 19 i 20.



N. 11. Narożnik wykładany z gipiury siatkowéj do kołnierzyka i mankieta ryc. 8 i 9.



N. 24. Tunika do ryciny 25. (Przód).



N. 22. Pas wyszywany na meble, portjery, firanki i t. d. Haft na suknie w dwóch cieniach.



N. 25. Tunika do ryciny 24. (Tył).

pow. obłańcuszkowanych oczkach, stanowią pęczkowy szlaczek. w następnych rzędach, przybieranie wypada przy środkowem oczku, po bokach jednak co trzeci rządek pozostawia się na początku i na końcu po 1 oczku. Przy powyższych oczkach jak również przy środkowem co drugi rząd powracając, odrabia sie 4 pow. oczka, stanowiące pęczkowy szlaczek.

Odrobiwszy tyle rzędów, żeby środkowe podwójne pęczki dochodziły do 14, wykończa się najwpierw jedna, potem druga połowa napierśnika do środka ramiączka. Druga połowa ramiączka ukośna prawie, ozdabia się pęczkami u wykroju szyi w 6 następnych rzędach, zostawia się o 1 oczko; poczem po trzech rzędach po 1 oczku znowu przybiera się do trzech razy. Opuściwszy 1 oczko, odrabia się 5 rzędów, potem idzie rządek obłańcuszkowany i ozdobiony pęczkami i 1 rządek tunetańskim ściegiem, konieczny jako zakończenie 3 c. szerokiego, 20 oczek obejmującego r a miączka. Od wykroju szyi nabiera się 20 nowych o c z e k; dwa z nich przeznacza się na spojenie 18 oczek szerokiego k ołnierzyka. Brzeg jego, tak jak przód napierśnika, ozdabia się pęczkami. Żeby nadać kołnierzykowi właściwą formę trzeba w każdéj jego połówce dać w równych o d stępach cztery małe klin i k i, które obwód jego dolny o 16 oczek poszerzają. Rządek ścisłych oczek otacza napierśnik wokoło. Koronka szydełkowa, dopełnia całości. Guziki z pętelkami spinają z tyłu kołnierzyk.



N. 27. Kostium z tuniką. Zobacz ryc. 28.

N. 18. Napierśnik z barankiem.

Przedstawiony napierśnik zaczyna się od środkowego końca na dole, na 5 pow. oczkach, odrabia się przez 60 rzędów, jak w opisie tła do ryc. 17 tunetańskim ściegiem z pęczkami, zachowując przybieranie przed i po środkowym oczku, a zostawiając brzegi ciągle równe. Dopiero po 60 rzędach niezmieniając nic w środku, przybiera się z brzegu w każdym trzecim rządku po 1 oczku.

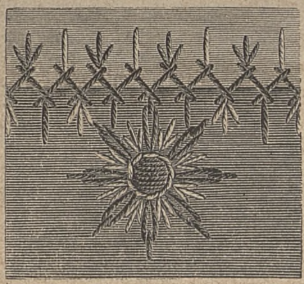
N. 19 — 21. Pudełko do listów.

Pudełko to 25 cent. długie, 8 c. wysokie obłożone aksamitem i podług ryciny 21 przedstawiającéj połowę deseniu wieczka, ozdobione jest kanwą papierową wycinaną. U osób lubiących starannie przechowywać korespondencje, związane są w paczki i opatrzone przy wstążeczce kartką z literą korrespondenta.

N. 22—23. Pas haftowany na fotele, portjery i t. d.

Materjał: Cienkie sukno, kaszmir lub ryps w dwóch brązowych cieniach, trzy kordonki do cieniu i pletnia sutaszowa, w średnim cieniu brązowym. Filozela rozmaitych kolorów w trzech i czterech cieniach.

Pas brązowy w dwóch cieniach tak się przyrządza, żeby ciemne pasy po 5 c. szerokie, stanowiły ramy dla jasnego. Zeszyte i rozprasowane, wyszywają się szlaczkiem brązowym w trzech cieniach jak go ryc. 3 w Tyg. Mód N. 26 w naturalnéj wielkości przedstawia. A r a beski z liśćmi mięszane są także brązowe. Przypominamy że w robocie mięszanie przyciąganych i luźno wyszytych nitek filozeli, wielce na korzyść cieniowania wpływa. Maki są pąsowe z zielonym ś r o d kiem, czarnemi szypułkami i srebrnemi punkcikami; modraki mają białe szypułki i czarne punkciki, zielony kielich okręca się bronzowym k o r d o n k i em. Polne róże są białe z żółtym kielichem, kampanule l i l a; kłosy brązowe z żółtym. Liście są jasne i szafirowo—zielone. Ciemno-brązowe arabeski, obrabiają się jasno, takież dają się jagódki przy gałązkach co się wiją między wyszyciem z pletni.



N. 23. Wyszycie brzegu do pasa ryc. 22. Zobacz ryc. 3 w Tyg. Mód N. 26.



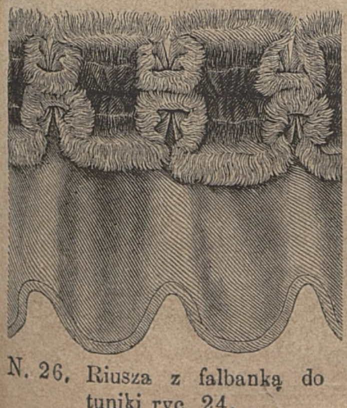
N. 29. Kostium z tuniką (plecy). Zobacz rycinę 36.

N. 24—26. Tunika z karoczkiem.

Rycina 24 i 25 przedstawia dwojako tunikę. Na ryc. 24 jest ona brązowa jedwabna, jedwabną frendzlą i 4 c. szeroką wysiepaną podwójną riuszą oszyta, ryc. 26 wskazuje pasek ułożony w riusze, dopełniony nadmarszczoną falbanką. Rycina 25 podaje tył tuniki wełnianéj, lampasem i wrabianą frendzelką przybrany. M i e j s c e wrobionego lampasu z a s tąpić można wyszyciem odmiennem.



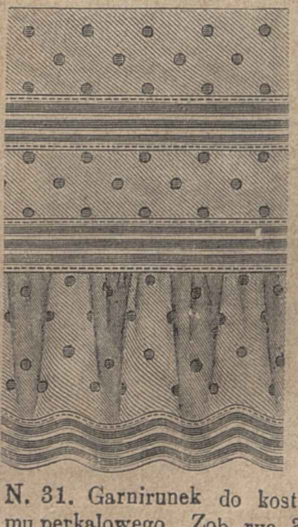
N. 30. Kostium perkalowy z paletotem. Zobacz ryc. 31.



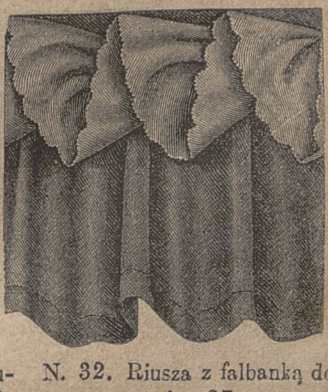
N. 26. Riusza z falbanką do tuniki ryc. 24.



N. 28. Garnirunek do sukni w pasy ryc. 27.



N. 31. Garnirunek do kostiumu perkalowego. Zob. ryc. 30.



N. 32. Riusza z falbanką do ryciny 37.

Na tunikę, trzeba dwóch przednich i jednego tylnego bryta, który zaokrąglony od dołu i ścięty ukośno w górze wynosi 134 cent. szerokości 49 cent. środkowéj, a 18 cent. bocznéj długości. Trzy fałdy zmniejszają tunikę do 12 cent. szerokości. Oba przody 17 cent. szerokie, a 31 cent. długie, proste z brzegu, zaokrąglają się ku tyłowi jak na ryc. 24. Sfałdowany w górze karoczek wszyty razem w pasek z tylnym brytem, wymaga zaokrąglonego 67 c. szerokiego a 36 cent. długiego kawałka. Kokarda z jasnego lampasu z frendzelką z materjału sukni dopełnia całości.





N. 33. Czepek muślinowy z czarną barbką.

szer. przystembnowane białym perkalowym paskiem, stanowią garnirunek. Tunika sfałdowana w tyle i paskiem objęta, składa się z dwóch brytów tylnych po 60 c. szer. 82 c. długich w tyle, a 40 c. po bokach. Obydwa przednie bryty 40 c. u dołu 16 c. w górze szerokie, mają z brzegu 48 c. długości, z boków 40 cent. Gruba fałda, tworzy puf w tyle. Kokardy jak i pasek z białego w lila paski perkalu, mają czarny z białem garnirunek. Stojący kołnierzyk u bluzkowego stanika dopełnia całości.

N. 30 — 31. Kostium perkalowy z paletotem.

Model biały perkalowy, w czarny rzucik



N. 34. Stanik koronką przybrany.

N. 35. Stanik z ganirunkiem tiulowym. Zobacz ryc. 23 i 25 w Tyg. Mód N. 26.

N. 27 — 31. Trzy perkalowe kostiumy.

Ryc. 27 przedstawia suknię białą w lila paski; ukośną falbanę i 2¹/₂ cent. szerokie pliski, ozdabia ażurowy 2 cent. szer.; biała bawełniana torsada lub gipiura. Lila pliski ¹/₂ cent. szerokie przystębnowane są przy torsadzie, jak to widać na zmniejszonym formacie ryc. 28. Falbanka 3 — 4 cent. szeroka ozdabia 40 cent. długie szarfy, stanik, rękawy i tunikę, tworzącą z przodu dwa ostre końce jak na ryc. 24. Tylny bryt rozcięty w dwa zęby w tyle i podpięty, liczy



N. 36. Kostium z tuniką. Zobacz rycinę 29.

50 cent. długości, 70 c. szerokości. Prócz falbany widzimy na spódnicy trzy ukośne plisy bez falbanek.

N. 29 i 36 Kostium z tuniką.

Kostium powyższy przedstawiony z tyłu na ryc. 29 a z przodu na ryc. 36 składa się z dwóch materjałów: jeden jest perkal biały w lila paski, drugi, biały w czarne paski, użyty na garnirunek. Falbana poprzecznie skrojona w lila paski 40 c. wysoka, a 360 c. szeroka, ozdabia dół spódnicy. Falbanki ukośne, 3 c.

ubrany jest perkalowemi pliskami z czarnego perkalu w białe paseczki. Ryc. 31 przedstawia garnirunek spódnicy, cztery razy powtórzony. Na staniku widać także podobne przybranie dane również u podpinanego paletota. Krój podaliśmy w N. 18 Tygodnika Mód do ryc. 16—17. Nadmieniamy jeszcze, że paletot spinają z przodu kokardy, ozdabiające całą tunikę. Stojący kołnierzyk i szarfę przyszytą do paska, zdobią przystembnowane paski.



N. 37. Stanik z karoczkiem, garnirowany riuszą i falbanką. Zobacz rycinę 32.



N. 38. Stanik z rozcinanemi rękawkami. Kołnierzyk i mankiety płócienne koronką garnirowane.

Dalszy ciąg opisu dodatku numeru 23 i 25 zamieszczony w osobnéj ćwiartce, dołączonéj przy Nrze. 25 Tygodnika Mód.

O UBIORACH.

W zwykłym naszym przeglądzie celniejszych Magazynów, bardzo wiele ładnych widzieliśmy rzeczy u pp. Kuhnke; ślicznie wyglądała suknia z muślinu gładkiego lila spódnica ubrana była jednym wolantem od dołu ćwierćłokciowej szerokości, drugim półłokciowej, trzecim nad nim znów ćwierciowej szerokości. Wszystkie trzy wycinane w małe okrągłe szyte zęby (jak to się używa do spódnic lub kaftaników perkalowych). Tunika tego samego koloru długa, z muślinu w pasy i także sam mały kaftanik, przybrane jak spódnica. Do tego należał kapelusz z belgijskiego bastu, objęty lila obłożeniem, takąż wstążką i pęczkami fijołków z liśćmi, ułożonemi w długą spadającą girlandkę.

Suknia różowa muślinkowa miała spódnicę naszytą 4 wolantami ćwierć łokciowej szerokości, oszyte białą koroneczką. Stanik wycięty. Na wierzch vêtement białe muślinowe w duże groszki haftowane. Garnirunek jego stanowiły gładkie muślinowe, ufałdowane w plisy zaprasowane falbanki. Kapelusz z bardzo wysoką główką słomkowy, rondko objęte aksamitem czarnym, ubrany białą gazą i bukiecikem z dużych pąków różanych. Parasolik różowy pokryty falbankami z muślinu białego.

Suknia biała pikowa miała spódnicę zupełnie gładką. Tunikę z przodu w kształcie fartuszka, boki przyfałdowane. Kaftanik z fałdowanym karoczkiem z szerokiemi rękawami; wszystko oszyte było rodzajem brzeżka z modnego angielskiego haftu. Do tego kostiumu należał kapelusz biały bastowy, białą gazą ubrany, w pomięszaniu z konwalją i liśćmi bluszczowemi.

Suknia z fularu „écru“ garnirowana trzema wolantami, dzierganemi w ząbki, tunika długa z tyłu bufowana; stanik z baskiną z tyłu fałdowaną. Na wierzch okrycie złożone z czterech pelerynek.

Suknia z popielatéj wełnianéj lekkiéj tkaniny, ubrana plisami oszytemi koroneczką także popielatą. Do tego kaftanik wolno puszczony z długiemi klapkami. Do téj toalety przeznaczony był kapelusz popielaty słomkowy z wysoką główką, ubrany popielatą crêpe de Chine, tegoż koloru piórem i różową różą.

U pana Thonnesa zwróciła uwagę naszą, ładna suknia z wyrobu „sultane“ koloru słomkowego. Na spódnicy było 7 fałbanek po obu stronach, oszytych czarną aksamitką i ułożonych w kontrafałdki z nagłówkiem; na to okrycie (vêtement) z czarnéj grenadiny, ubrane takąż samą riuszą i oszyte do koła koronką. Rękawy szerokie otwarte, tak samo ozdobione.

Suknia z pięknego bareżu jasno popielatego z szerokim wolantem na półtory ćwierci, miała nad nim drugi węższy z nagłówkiem; przyszycie pokryte frendzlą dość szeroką, wiązaną i znów drugi taki sam wolant. Tunika prześlicznie ułożona odpowiednio ubrana. Stanik z baskiną. Na to vêtement czarne bareżowe. Są tu także osobne okrycia (vêtement) w rozmaitych kolorach z różnych materjałów i na różne ceny. Zalecają się także bardzo zgrabne turniury z włosianéj tkaniny; białe po 4 r. sr; szare po 3 r: sr. całe zaś takie spódniczki pod kostiumy po r. 13. Parasoliki wełniane od 3 r: sr: do 6: stosownie do bogactwa wyrobu. Bardzo nam się podobały materje w nowym guście zwane Brocatelle po 2 r: sr: kop 50. w kolorowy deseń, na tle ciemnem, a przeważnie czarnem.

U pani Penkalowéj oglądaliśmy również różne wykończone kostiumy. Jeden z nich z materji niebieskiéj faille, miał na spódniczce gęsto naszyte pliski przedzielane wązkiemi nagłóweczkami. Tunika z indyjskiego batystu oszyta gipiurą, przy któréj wrobioną była frendzla jedwabna. Tunika ta w niektórych miejscach podpinana kokardami z aksamitki czarnéj ślicznie i fantazyjnie układała się na spódniczce. Paletocik lekko wcięty, bez paska miał tylko czarną kokardę z aksamitki w tyle. Rękawy szerokie. Do tego przygotowano kapelusz słomkowy z rondkiem mocno odwiniętem na przodzie, podszytem aksamitem czarnym; główka nad czołem po za rondkiem ubrana była wstążką niebieską, pukielki w górę przedzielane kłosami i dużemi rumiankami. Długie szarfy z tiulu jedwabnego służyły do podpięcia na przodzie. Z tyłu kokarda z niebieskiéj wstążki.

Kostium Wiktoria z bareżu koloru Dalia, miał na spódnicy cztery falbanki w górę dane, przyszyte plisą podpuszczoną z obu stron białą walansienką. Tunika fasonu Angélique, po bokach lekko ściągnięta, podpinana kokordami w kształcie snopków i stosownie oszyta. Paletocik na plecach fałdowany, tworzący ładne ubranie na tunice; oszycie także z valenciennes. Kapelusz z odwiniętem rondkiem objętem lila materją. Nad czołem skręcona wstążka z węzłem nad jedną skronią. Szarfy pod brodą ze wstążki. Z tyłu koronkowe szarfy i węzeł. Z boku piękny aster ze spuszczoną gałązką.

Kostium bareżowy zwany „Marietta“ koloru popielatego. Spódnica z szerokim wolantem, wycinanym w wielkie zęby, a takowe ubrane jeszcze trzema wązkiemi falbaneczkami. Nad wolantem pięć riusz. Paletocik do figury, urządzony z przodu z kamizelką, zakończony riuszką i frendzlą. Z pod niego wychodziła ładna szeroka szarfa z poult de soie tego samego koloru. Kapelusz słomkowy, popielaty, okrągły z wysoką główką ubrany grenadiną popielatą; wstążka popielata z różową spuszczona, z tyłu przepięta ślicznym bukietem z różanych pączków.

Kostium bareżowy czarny miał spódnicę z szerokim wolantem marszczonym, na nim i nad nim wązki wolancik plisowany, zakończony gipiurą wązką czarną. Na to angielska tunika pięknie ułożona, zakończona wolancikiem plisowanym, nad którym naszytą była szeroka wstawka gipiurowa. Paletocik lekko z tyłu wcięty był podobnież wstawką, wolancikiem i brzeżkiem gipiurowym ozdobiony. Do tego kapelusz „Espagnole“ czarny włosiany z jednego boku mocno podpięty. Na podpięciu ubranie z pukielków aksamitnych czarnych, które przyozdabia wielka pąsowa kokarda ze wstążki, ułożona w guście piwonii, kokardę taką można zmieniać podług sukni. Z tyłu kilka końcy z aksamitki długo spuszczonych. Rondko u kapelusza objęte dwoma rulonikami aksamitnemi w calowym odstępie.

Kostium na wodę z batystu szamoa. Spódnica przybrana falbankami gipiurą oszytemi; tunika, bluzka i rotonda odpowiednio przybrane. Do tego kapelusz okrągły słomkowy, wstążką objęty, ubrany czarną aksamitką, egretką z piórek szamoa i czarnem piórem.

Ładnym był także kapelusz bandyta zwany z angielskiéj słomy; brzeg rondka objęty wąziutką krepową bufką, główka ubrana plisami krepowemi słomkowego koloru. Dwa pióra, jedno jak kapelusz, drugie bronzowe do cieniu tegoż koloru różą przypięte, z tyłu fantazyjnie niby woal spuszczony oszyty koronką Chantilli.

Na ranne toalety do wód noszą bardzo kostiumy perkalowe białe z czarnem, écru, szamoa, lila itd. garnirowane pasowanemi falbankami.

Do sukien perkalowych na rano najwięcéj używane kapelusze słomkowe: czarne, brązowe i popielate, ubrane stosownie do sukni.

Lekkich wyrobów na suknie letnie mnóstwo w każdym sklepie, jużeśmy je opisywali i podali cenę takowych; przybyły tylko jeszcze do nich rypsy bawełniane w drobne kolorowe bukiety. Oczy nasze nawykłe już od dość dawna do jednostajności kolorów, długo do téj pstrociżny przyzwyczaić się nie będą mogły. Toalety mięszane np. niebieski i szamoa, szamoa i brązowy, czarny i kafowy jasny, albo też dobierane w jednéj barwie tylko w cienie dwa lub nawet trzy, bardzo harmonijnie wyglądają.

Pasowane suknie ciągle są używane, modniejsze jednak te, co mają garnirunek z haftem atłaskowym lub z wyszyciem łańcuszkowem albo naszycie z kolorowéj koronki. Białe i czarne gipiury także bardzo używane, lecz tak wielką ilość łokci tego potrzeba do przybrania jednego kostiumu, że często przybór przejdzie kosztem materjał na suknią obrany.

Dla osób które na skromniejszych toaletach poprzestać muszą, zalecamy odznaczające się gustem i umiarkowanemi cenami magazyny: P. Rosińskiéj na Krakowskiem-Przedmieściu obok poczty, Pani Kleczyńskiéj przy ulicy Marszałkowskiéj, która obok tego ma fabrykę kwiatów i panią Mareńską naprzeciw Banku.

Dokończenie opisów dodatków N. 23 i 25 Tygodnika Mód 1871 r.

Opis N. 23.

N. 9. Sukienka z pelerynką dla dziewczynki od 3 do 6 lat.
Krój N. V fig. 20 — 24.

Model przedstawia letnią sukienkę pikową, ubraną batystowemi i gipiurowemi szlarkami i szmuklerskim brzeżkiem. Fig. 20 — 21 podaje kroje „Gabrjeli“ z przodu na guziki spiętéj, z dodaniem wskazówek długości i szerokości. Tył skośny albo prosty wymaga fałdy na bokach podług fig. 22. Dwa proste bryty na tył po 46 cent. szerokie uzupełniają spódniczkę; jeśli mają być ukośne, ścinają się ku górze do 20 cent. zszywają przez środek, bryty boczne pozostają proste. Haftowana szlarka 5 cent. szeroka marszczona, naszywa się w rodzaju falbanki, przyczepiona tasiemeczką co tworzy fałszywą tunikę z przodu otwartą, a z tyłu wachlarzowatą, jak to widzimy na ryc. 9 w N. 23. Kilka haftowanych zębów, podajemy przy formie pelerynki, przyszytéj do paska w szyi. Spódniczka naszywa się 3 razy taśmą szmuklerską. Guziki z przodu sukienki naszywają się dosyć gęsto, dziurek daje się do zapinania o połowę mniéj.

N. 11 — 12. Deseń na pantofle z bokami nieodcinanemi.

Do tła brązowego aksamitnego, użyto dwóch jasnych cieni, popielatego kordonku, luźnemi i łańcuszkowemi ściegami wyszytego, jak to ryc. 11. wskazuje. Ryc. 12 przedstawia część boku.

N. 13. Deseń na pantofle z bokami odcinanemi.

Na brązowéj skórze daje się wyszycie ze złotego i brązowego sznurka, haft atłaskowy z zielonego kordonku. Gwiazdy w połowie grubo się najpierw wywodzą i haftują ukośnemi ściegami. Drugie połowy liścia, wyszywają się luźno, żeby przeglądała skóra. Sznurek średniéj grubości, otacza każdy listek wkoło. Rozetki węzełkowe, z luźnemi złotemi ściegami otaczają brzeg pantofelka. Girlandę stanowi splatana gałęź ze złotego sznura, z zielonemi ściegami po bokach i druga z brązowego sznurka, karbowanego ze złotemi pęczkami. Wieniec i rozetki stanowią wyszycie, odcinanych boków.

N. 14 — 17. Kołnierzyk z krawatką.

Zobacz ryc. 15 (koronkowa barbka) Fig: 35 na dodatku.

Koronkowa robota kołnierzyka, krawatki i rękawków wymaga cieniutkiej plecionki i nici; pierwsza odznacza deseń, który się w najrozmaitszy sposób koronkowemi ściegami zapełnia. Ryc. 15 i 17 podaje szlak mankieta i koniec krawatki, Fig. 35 na dodatku z krojami część narożnika kołnierza. Pięć kwiatów wystarcza na mankiet przyszyty do muślinowego rękawka. Krawatka może być muślinowa tiulowa, albo kolorowa rypsowa, na któréj się przyczepiają koronkowe końce.

N. 18 — 19. Kołnierzyk z kokardą i mankiet.

Kołnierzyk ten z irlandzkiéj koronki, ozdabia kolorowa kokarda z 6. c. szer: rypsowéj wstążki. Pukle z niéj i spadające, wysiepane końce, naszyte są białemi kwiatami z koronki. Mankiet ryc: I9. przyszywa się do muślinowego rękawka, co pokrywa wstążka skręcona i zakończona w kokardę.

N. 20 — 23. Torebka na trzewiki.

Torebka ta robi się w całości z jednego kawała drelichu, z zapinaną z wierzchu klapą. Ryc: 21 przedstawia garnirunek w naturalnéj wielkości popielatéj płóciennéj torby, stanowi go brązowa wstążka, rzadko z wierzchu przydziergana. Po przydzierganiu, brzeg wstążki należy wyciąć w zęby. Torba złożona, zszywa się z jednego boku. Ryc. 22 i 23 przedstawia dwa rodzaje guzików na spinanie torby, jeden po obciągnięciu materją, wyszyty jest czarno i biało; drugi ozdobiony węzełkami.

N. 24 — 27. Torba do butów.

Model z popielatego drelichu w białe pasy, wyszyty jest na pasach czarnym i kolorowym jedwabiem, podług próbki ryc. 26. Najwpierw robią się poprzeczne czarne ściegi, przez które szybko kolorowa nitka kwadratów przeciąga się. Lamówka z czarnéj tasiemki na szwach torby, otrzymuje rzucik mały. Ryc. 27 przedstawia wyszycie pąsowych pęczków na białéj, taśmie szmuklerskiéj, z pod któréj wystaje wązka pąsowa tasiemka, czarnym jedwabiem przydziergana.

Wyszycie to, pięknie się wydaje i na tle białem, tworząc rodzaj kolorowych pasów do jakiegobądź użytku. Rycina 25 objaśnia użytek; na ryc: 24 widzimy torbę zwiniętą już i związaną na tasiemki.

N. 28. Szlak z irlandzkiéj koronki do sukien, kościelnych komży obrusów i t. d.

Znana robota irlandzkiéj koronki w połączeniu z gipiurowem zarabianiem deseni, wykonywa się tak z białéj nicianéj plecionki i nici, jakoteż z czarnego jedwabnego sznureczka i jedwabiu.

N. 29 — 30. Dwie kokardy do paska.

Pomimo ryciny, dodajemy, że szerokość ukosu do ryc. 29, wynosi $6\frac{1}{2}$ do I2 cent. Wstawka na kokardę ryc; 30 liczy 9 c. szerokości. Końce są koronkowe czarne, z przywiązywaną frendzlą.

N. 31. Tulipan. (Kwiat papierowy).

Krój na dod. N. VIII. Fig. 31.

Materjał: żółty i zielony, jasny jedwabny papier, dobry biały papier zielono-szafirowy papier bez glansu, zielono-majowy z glansem; cienki drucik, etc.

Sześć liści tulipanu, przykrawa się z żółtego jedwabnego papieru podług fig: 31, i mięszaniną z cynobru i karminu, maluje się żyłkowane końce liści. Rozprowadziwszy pędzelkiem i wysuszywszy malowanie, trzeba liść każdy przez środek złożyć, dla sformowania fałdeczki. Przeprowadziwszy parę razy paznogciem po fałdce, otrzymamy delikatne prążki w kwiecie dostrzegalne. Prócz tego każdy listek drutem się z brzegu przeprowadza, jak to widzimy na ryc. 31. Sześć liści, układa się w dwa rzędy wkoło słupków ciemnych zajmujących środek. Srodeczek z waty, ułożony w kulkę podługowatą, zielonym papierem obciągnięty, krzyżuje się żółtą nitką. Można też kupić gotowy z kielichem kwiatowym zarazem. Korzonek z drucika okręca się zielono. Dwa liście 3 c. szer: a 9 długie, przyrządzają się z brązowo-zielonego papieru, środkowa żyłka i wywracane brzegi, robią się za pomocą drutu.

N. 32. Dzwoneczki.

Biały pasek papieru, 2 c. szer. wycinany w ząbki, zwija się na końcu ołówka, żeby go oblegał i obcina tyle, ile potrzeba na skléjony na ołówku kwiatek, przez środek którego, przeciąga się drucik z szypułkami żółto malowanéj kaszki. Końcem ołówka nadaje się formę kwiatkowi i wywraca ząbki. Papierowe białe kulki, stanowią pączki; najdrobniejsze na końcu malują się zielonawo. Liście z zielonego papieru 4. c. szer: a 10. c. długie przeciągają się dla żyłki środkowéj grubym drutem, wykręcając jak na ryc. 32.

N 33 i 34. Kostium z tuniką i kaftanem.

Zobacz ryc: 6. w N. 19. Tyg. Mód.

Przy brązowem tle modelu, dobrze odbija ciemno brązowe oszycie. Zęby 2—6 c. głębokie i 2—$3\frac{1}{2}$ c. szeroko wycięte, mają jak widzimy na ryc: 33. jaśniejsze brązowe obłożenie w ząbki, w górze brązowym łańcuszkiem odznaczone i ciemniejszą u dołu lamówkę. Zęby podszywają się muślinem, spódnica wystająca z pod tuniki 280. c. szeroka, składa się z trzech ukośnych falbanek po 10. c. szerokich dwóch ciemnych, z jaśniejszą we środku. Tunika kliniasta, z boków podpięta, 82 c. długa w tyle, 71 c. z przodu, ma 246 c. obwodu; kaftanik w samym środku pleców i w bocznych szwach rozparany, długi 51. cent: z przodu, a 57. centy. w tyle, ma gładki garnirunek. Karoczek tylny czterema fałdami do 16 c. ściągnięty, kraje się 64 c. szeroki, a 35 c. długi. Dwie głębokie kontrafałdy, zwężają go w górze do 23 c. poczem przymocowywa się do brązowo lamowanego paska. Ząbki po 2 c. wysokie, tworzą stojący kołnierzyk.

N. 35. Ubranie do konnéj jazdy.

Krój na dodatku N. VII. Fig. 29—30.

Karoczek powyższy, sięgający szwów boku, łatwo się dopasowywa, stanowiąc przedłużenie stanika. Długie bawety z przodu skrócają się od 8—10 centymetrów. Amazonka przedstawiona jest sukienna czarna, wykłady rękawów i karoczek przybrany plisą atłasową, z takiemże węższem nierównie objęciem z brzegu. Atłasowe guziki dopełniają garnirunku.

N. 36. Stanik z bawetem.

Krój jak do ryciny 22 i 23 w N. 18. Tyg. Mód.

Suknia popielata wełniana, ubrana plisowaniem 7—9 c. szerokiem, z wełnianéj krepy lub grenadiny, przyciśniętem środkiem 2—$2\frac{1}{3}$ c. szer. listewką z materjału sukni. Garnirunek stanika w rodzaju podłużnego wycięcia, tworzy w tyle okrągławy kołnierz. Stanik trzyma na przodzie 40. c. długości, karoczek w tyle, wypełnia wełniana kokarda popielata, z końcami ubranemi plisowaniem, odpowiednio do ryc. 22 i 23. w N. I8 T. Mód. Mankiet na podszewce, z boku zeszyty, na rękawie formy paletotowéj, ma u dołu 42 w górze 32. c. szerokości; na końcach 14. c. a przez prosty środek 11 c. wysokości.

Opis N. 25.

N. 33. Czepek muślinowy z czarnym fanszonikiem.

Czepek ten przeznaczony dla podeszłych w wieku osób, muślinowy, formą siatki, z tyłu gumową tasiemką nawleczony, wszywa się z przodu w pasek z zębem. Riusza muślinowa, muślinowe bandaże, i czarny koronkowy fanszonik pod brodą spinany, dopełniają garnirunku.

N. 34. Stanik koronką przybrany.

Koronka czarna, używa się ciągle tak do czarnych jak kolorowych staników. Suknia z popielatego „taffetas de laine” ma objęty stanik i rękawy, aksamitem, oraz obłożenie z koronki.

N. 35 Stanik z garnirunkiem tiulowym.

Stanik powyższy, ozdobiony pasem tiulowym 68 c. długim, 5. c. w środku a $2\frac{1}{2}$. c. na końcach szerokim, przypomina podłużne wycięcie. Marszczona biała koronka, obłożona czarną tiulową wstawką, oszyta takąż koroneczką, wystaje z pod spodu.

N 36 Kostium z tuniką.

N. 37 i 32. Stanik z karoczkiem riuszą przybrany.

Garnirunek na ryc. 32. przedstawiony, składa się z marszczonéj grenadinowéj falbanki, riuszy i pliski jedwabnéj 3—5 c. szer. wyciętéj w ząbki, zmarszczonéj i przyszywanéj jak na ryc. 32. Popielaty jedwabny stanik, ma grenadinową falbankę w tym samym cieniu, a riuszę jaśniejszą. Piękna bardzo jest taka grenadinowa czarna suknia na kolorowéj, przybrana riuszą i kokardami w cieniu sukni kolorowej.

N. 38. Stanik z żabotowym kołnierzykiem.

Aksamitka i takaż kokarda przy rozporku rękawa, stanowią cały garnirunek stanika i karoczka. Kołnierzyk płócienny z długiemi rogami, koronką oszyty, formuje rodzaj żabocika; rękawek z płóciennym mankietem oszyty koronką uzupełnia całość.